

Tekst ma 13 914 wyrazów.

Nieskończone małpy

(z tomiku opowiadań „W małym dworze”)

Bartek Spartel

1

Prawdopodobnie był to sen. Tylko w snach pojawiaamy się w jakimś miejscu w ogóle nie pamiętając, skąd się tam wzięliśmy, ani co robiliśmy wcześniej. Śniąc mamy wrażenie, jakbyśmy właśnie włączyli telewizor i zaczęli oglądać jakiś film od jakiegoś jego miejsca, nie od początku. Film, z nami samymi w roli głównej. Śniąc prawie zawsze zdajemy sobie sprawę, że śnimy. Obrazy przed naszymi oczami są całkiem realne, lecz rzadko odczuwamy ból, czy reagujemy zmysłem dotyku. Są inne dowody i powody dla których jesteśmy świadomi, że

to tylko sen. W tym przypadku było inaczej. Sen był przerażająco prawdziwy. Miał wrażenie, że wszystkiego wokół niego może dotknąć. Nie tylko widział różne rzeczy wokół i słyszał różne dźwięki, ale był prawie pewien, że czuje również zapachy i własne ciało. Tak... Jeśli był to sen, to cholernie realny. I jakiś taki nudny przy okazji...

Obudził się — założmy, że jednak był to sen — w... przedpokoju. Ten zaś był przerażliwie zwyczajny. Lustro, garderoba z wiszącymi kurtkami, czapkami i jednym parasolem, jakaś szafa i kilka par krzeseł. Nie wiedział do końca dlaczego, ale zdawało mu się, że jest to przedpokój do jakiegoś gabinetu. Siedział na jednym z krzeseł. Oprócz niego nie było w pomieszczeniu nikogo. Na wprost siebie miał pierwsze z dwóch drzwi. Masywne, sprawiające wrażenie ciężkich, obite skórą noszącą wyraźne ślady zużycia i swojego wieku. Drzwi po jego lewej stronie prowadziły prawdopodobnie do owego gabinetu, w którego przedpokoju się znajdował. Były lekkie, jak typowe drzwi wewnątrz mieszkania, przeszlufowane w dwóch trzecich swojej wysokości. Szkło było nieprzezroczyste i nie pozwalało dojrzeć niczego, co działo się za drzwiami. Przedpokój był bardzo podobny do tego z mieszkania laryngologa, z którego usług korzystał prywatnie, gdy był małym dzieckiem. Do gabinetu przyprowadzała go zawsze mama, rzadko tata. Razem cierpliwie czekali na jego kolej. Dostrzegął tylko dwie różnice. Po pierwsze — gabinet laryngologa sprzed lat był wygospodarowany w jego prywatnym mieszkaniu. Przedpokój do gabinetu był więc typowym przedpokojem w typowym trzypokojowym mieszkaniu w bloku. W tamtym przedpokoju było jednak w sumie aż sześć par drzwi. Jedne wejściowe, a dalej — zgodnie z ruchem wskazówek zegara — drzwi do łazienki, do średniego pokoju, w którym zamknięte były dzieci laryngologa z nakazem grzecznego bawienia się i zakazem opuszczania pokoju, dopóki w przedpokoju przebywali obcy ludzie — pacjenci. Kolejne drzwi

prowadziły do kuchni, która na czas przyjmowania pacjentów stawała się domeną żony pana doktora. Nigdy nie zastanawiał się, jak rozwiązywane były problemy natury fizjologicznej tej trójki. Kolejne, piąte drzwi prowadziły do największego pokoju w mieszkaniu, na czas wizyt pacjentów zamkniętego na cztery spusty i pustego. Ostatnie — również przeszklone nieprzezroczystym szkłem — były drzwi do najmniejszego pokoju w mieszkaniu, przerobionego na gabinet laryngologiczny. W przedpokoju tamtego mieszkania sprzed lat było więc sześć par drzwi, tu — tylko dwie. To była pierwsza zmiana. Drugą była ilość osób. W przedpokoju laryngologa zawsze panował gwar rozmów, a drzwi wyjściowe na korytarz były prawie zawsze otwarte, bo kolejka pacjentów nie mieściła się w środku. Tu był absolutnie sam.

Nie miał pojęcia, skąd się tu wziął? Im dłużej przebywał w tym miejscu, tym bardziej ogarniało go nieprzyjemne uczucie, że albo jest to wyjątkowo realistyczny sen albo to nie sen, tylko rzeczywistość. Jego pamięć była w tej chwili jak „tabula rasa”, jednak nie ze względu na nawiązania do filozofii tylko kompletną pustkę. Skupił się mocno, by przypomnieć sobie kim był i co robił, nim tu trafił.

2

Nazywał się Artur Kalisewicz. Był młodym naukowcem. Miał trzydzieści pięć lat i nieco ponad osiem lat stażu pracy w Instytucie Energii Atomowej w OtwockuŚwierku pod Warszawą. Pracował na reaktorze Maria — jedynym obecnie działającym polskim reaktorze jądrowym i jednocześnie pierwszym polskiej produkcji. Drugi z nich — reaktor Ewa — wyłączono w lutym 1995 roku z powodu braku paliwa uranowego. Ponownie włączono go na krótki czas w kwietniu, po sprowadzeniu pierwiastka z Rosji. Ostatecznie podjęto jednak

decyzję o wygaszeniu i zdemontowaniu go. Miało to miejsce tuż przed rozpoczęciem doktoratu Artura, około pięć lat przed nawiązaniem współpracy z Instytutem Energii Atomowej. Reaktor Maria również dość długo był nieczynny. Brak niezbędnego paliwa uranowego spowodował prawie roczną przerwę w eksploatacji. Przez prawie cały rok dwutysięczny czwarty wszystkie eksperymenty były wstrzymane. Dla Artura nie był to wielki problem, bo w tym czasie nie był jeszcze przydzielony do pracy przy reaktorze. Lecz zdarzali się tacy naukowcy, którzy grozili wręcz zwolnieniem z instytutu, jeżeli władze instytutu nie podejmą zdecydowanych kroków mających na celu sprowadzenie paliwa i wznowienie pracy reaktora.

Maria była i jest reaktorem doświadczalnym. Ze względu na swą moc cieplną — trzydzieści megawatów — nie posiadała nigdy większego znaczenia energetycznego. Do badań i doświadczeń nadawała się jednak wyśmienicie. Ważną jego cechą było korzystne położenie geograficzne. Znaczna izolacja ośrodka od osiedli ludzkich pozwoliła mu uniknąć losu wielu europejskich badawczych reaktorów jądrowych, które zostały zamknięte ze względów bezpieczeństwa. Wybudowano go w 1974 roku, gdy instytut nosił jeszcze nazwę Instytutu Badań Jądrowych. Artur został przydzielony do pracy przy reaktorze kilka dni po wznowieniu eksperymentów na nim, w lutym 2005 roku. Został członkiem grupy prowadzącej badania na wiązkach neutronów. Pod kierunkiem swojego mentora prowadził eksperymenty z zakresu fizyki bardzo wysokich energii.

3

Po dłuższej chwili trwania w względnym bezruchu i spokojnego obserwowania otoczenia postanowił wstać i nieco się rozejrzeć. Robił to powoli, ciągle jeszcze nie wiedząc, gdzie się znajduje, co tu

robi, ani co go czeka. Wstał i zbliżył się do przeszklonych drzwi. Zauważył, że z bliska można dostrzec to, co dzieje się poza nimi — ale tylko zarysy. Dostrzegł coś, co zdaje się, że wyglądało na duże biurko. Zauważył też kontury dwóch osób siedzących naprzeciwko siebie, po przeciwnych stronach blatu. Jedna zdawała się być mała, chuda, pochylona i prawie nieruchoma. Druga — wyższa i tęższa, dość energicznie gestykulowała i tłumaczyła coś pierwszej. Dźwiękoszczelność drzwi była doprawdy imponująca — szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że naprawdę wyglądały, jak zwykle, cienkie, puste w środku drzwi znane z dziesiątek tysięcy mieszkań w blokach. Mimo to, spoza nich nie docierał żaden dźwięk. Za plecami drugiej osoby, tej gestykulującej, Artur dostrzegł zarysy wielu wysokich szaf z szufladami i regałami. Wyglądało to wszystko na jakieś biuro przyjmujące patentów. Jeden z nich prawdopodobnie siedział już w środku, więc Artur pomyślał, że nie pozostało mu zbyt wiele innych opcji poza wróceniem na krzesło i poczekaniem na swoją kolej. Może, gdy ona nadejdzie uda się mu dowiedzieć czegoś więcej na temat tego miejsca, powodów dla których się tu znalazł oraz dlaczego tak niewiele pamiętał?

Był naukowcem i do wszystkiego starał się mieć analityczne podejście. Prowadzenie eksperymentów takich, jakie prowadził nauczyło go też anielskiej wprost cierpliwości. Postanowił nie ruszać się nigdzie, ani niczego więcej nie sprawdzać, tylko cierpliwie czekać. Wrócił na krzesło i znów mocno skupił się, usiłując przypomnieć sobie cokolwiek więcej.

Z wykształcenia był fizykiem jądrowym. Jednak prace badawcze, jakie prowadził i tematyka doktoratu powodowały, że często miał do czynienia z liczbami ogromnymi lub nieskończonymi. Gdy mocno skupił się, przypominał sobie wykład z czasów studiów doktoranckich i pracy na uczelni. Wykład prowadził pewien lubiany przez niego profesor — matematyk i statystyk, a zatytułowany był: „Twierdzenie o nieskończonej liczbie małp”. Choć niemalże hermetycznie teoretyczny i dotyczący liczb trudnych do pojęcia przez umysł ludzki, wykład okazał się być wyjątkowo ciekawy i wciągający. Prelegent uzyskał to dzięki przetykaniu surowych, statystycznych faktów humorystycznymi wtrąceniami.

U podstaw tytułowego twierdzenia leży założenie, że jedna małpa dysponując jedną maszyną do pisania i nieskończenie długim okresem czasu, naciskając losowo wybrane znaki, jest w stanie napisać całą sztukę Williama Szekspira — na przykład „Hamleta”. Małpa jest tu sympatyczną metaforą na dowolne urządzenie — człowieka, komputer — generujące nieskończenie długi ciąg losowych znaków. Różne wersje i warianty tego twierdzenia istnieją w historii nauki od starożytności, od czasów Arystotelesa i Cyserona, choć wówczas zapewne nie dotyczyły „Hamleta”. Zmieniała się też ilość małp — aż do nieskończonej ich liczby we współczesnych wersjach. Zmieniało się urządzenie i sposób wypisywania losowych znaków, zmieniał się wreszcie zakładany cel do osiągnięcia — od pojedynczego zdania, przez konkretne dzieło literackie lub cały dorobek pisarski, Szekspira albo innego znanego pisarza, po zawartość wszystkich książek w pokaźnych rozmiarów bibliotece, na przykład Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych. Zagadnienie nieskończoności nieodmiennie fascynowało ludzi od tysięcy lat.

Twierdzenie plastycznie ilustruje zagrożenia płynące z postrzegania nieskończoności jako olbrzymiej, ale jednak skończonej liczby. Jak również z rozumowania odwrotnego — postrzegania dużej liczby jako nieskończoności. Nieskończoność jest tworem niezwykle trudnym do wyobrażenia sobie przez przeciętną osobę, która — zwykle nie mając innej możliwości — sprowadza ją do niezwykle dużej, ale skończonej liczby. Twierdzenie o nieskończonej liczbie małp udowadnia jak łatwo możemy w tym zakresie popełniać błędy. Prawdopodobieństwo napisania przez małpę zadanego tekstu, złożonego z dużej liczby znaków, jak na przykład treść „Hamleta” Williama Szekspira jest niewyobrażalnie znikome. Nawet w skali tak wielkich liczb jak rozmiary widzialnego wszechświata lub jego wiek. Prawdopodobieństwo prawidłowego wylosowania pierwszych trzynastu liter dowolnego tekstu jest większa niż liczba sekund, jakie upłynęły od powstania wszechświata. Zaś prawdopodobieństwo wylosowania pierwszych pięćdziesięciu sześciu liter — większa niż ilość atomów w obserwowalnym przez nas wszechświecie. Czymże zaś jest trzynaście, czy nawet pięćdziesiąt sześć liter wobec całej książki? Przykładowy „Hamlet” ma ich sto osiemdziesiąt tysięcy. Nie wspominając nawet o całej bibliotece — jak chciała jedna z wersji twierdzenia.

— W roku dwutysięcznym trzecim... — Artur przypomniał sobie słowa, jakie padły na zakończenie. — ...wykładowcy oraz studenci z Uniwersytetu Plymouth wykorzystali grant w wysokości dwóch tysięcy funtów, by sprawdzić co są w stanie napisać prawdziwe małpy. Pozostawili klawiaturę komputerową w zagrodzie sześciu makaków czubatych w zoo w Devon w Wielkiej Brytanii. Klawiatura połączona była łączem radiowym z Internetem. Planowano, że dzięki temu przez miesiąc czasu będzie możliwa publikacja wyników tego doświadczenia na specjalnej stronie internetowej. Eksperyment niestety nie trwał aż tak długo. Prawdę mówiąc — nie trwał

nawet jednego dnia i zakończył się totalnym fiaskiem. Mały stworzyły ledwie pięć stron tekstu, składających się głównie z litery „s”. Ponadto, dominujący samiec zaczął walić w klawiaturę kamieniem. Pozostałe mały dokńczyły dzieła zniszczenia oddając na nią mocz.

Na całej sali rozległy się głośne śmiechy, a następnie gromkimi brawami nagrodzono zakończony wykład emerytowanego profesora.

5

Po drugiej stronie przeszklonych drzwi siedziały dwie osoby. Jedną był anioł Anastazy, drugą — stary, zgarbiony człowieczek, któremu całkiem niedawno zdarzyło się umrzeć, a po opuszczeniu ziemskiego padole łez — znaleźć się właśnie w tym miejscu. Dopiero co zaczął rozmowę z aniołem siedzącym po przeciwległej stronie wielkiego biurka. Był przerażony faktem, że umarł, a jeszcze bardziej tym, że to, co zastał po śmierci tak jakby sporo odbiegało od jego wyobrażeń. To wszystko powodowało, że siedział cichy, przestraszony, zagubiony w sobie. Gorzej niż na kafkowskim procesie, odpowiadał jedynie sylabami, a dialog o wiele bardziej przypominał monolog.

— Tak, tak... — rzekł przeciągle Anastazy. — Kogo my tu mamy?

Przez kilkanaście sekund nerwowo uderzał w klawisze stojącego po jego lewej stronie komputera. Po chwili spod biurka dało się słyszeć pisknięcie. Twarz Anastazego rozpromieniła się. Spojrzał na małego człowieczka i dokończył:

— O, jest! Pan Bartłomiej Czerwieniowicz. Całkiem ładne nazwisko. Pozwolę sobie zwracać się do pana „per ty”. Jak sam rozumiesz — tu pojęcia wieku i starszeństwa nie istnieją. Po co więc

mamy zawracać sobie głowę napuszoną bufonadą? Mam nadzieję, że to nie będzie ci przeszkadzać?

— Nie... skądże... — wyszeptał przerażonym głosem zapytany.

— Czy zanim przejdziemy do analizy twoich poczynań i dokonaniań tam... — Anastazy sugestywnym ruchem ręki wskazał podłogę.
— ...jest coś, o co chciałbyś zapytać?

W sytuacjach zaskakujących lub trudnych do zrozumienia przez nas często zdarza się nam zadawać naprawdę idiotyczne pytania. Lub takie, które żadną miarą nie pasują do sytuacji:

— Tak! Dlaczego masz czarną koszulkę, skoro jesteś aniołem?

— Bo mi do twarzy w czerni! — wypalił Anastazy, w ogóle nie zbity z pantafyku. — Coś jeszcze?

— Nnn... nie! — reakcja anioła rozłożyła Bartłomieja Czerwiniowicza na łopatki. Od tego momentu mówił jeszcze mniej i odzywał się jeszcze bardziej sporadycznie.

— I co my tu na ciebie mamy? — jego twarz spochmurniała. — Oj, niedobrze, niedobrze...

— Co? — zapytał przerażonym głosem człowieczek.

— No... twoja kartoteka jest nieźle zawalona...

Człowieczek z przerażeniem wciągnął powietrze. Niewzruszony tym Anastazy kontynuował:

— Byłeś księgowym młodzieżowego klubu koszykarzy. Sam też aktywnie uprawiałeś sport. Kochałeś ruch. Potem zdarzył się ten wypadek samochodowy, który wsadził cię na wózek inwalidzki. Kalectwo spowodowało zupełne zgnuszenie. Stałeś się nieprzyjemny i paskudny dla otoczenia. Ogólnie trudny w kontaktach. Ze szczególnym upodobaniem zaczęłaś krytykować młode dziewczyny, sprawne ruchowo w przeciwieństwie do ciebie. Sączyłeś jad i wściekłość na wszystko i wszystkich za to, że sam chodzić nie możesz...

Znowu skorzystał z komputera, tym razem kilka razy przesuważąc myszkę i klikając nią.

— Dwudziestego dziewiątego stycznia dwutysięcznego siódmego roku młoda dziewczyna miała wypadek samochodowy. Niegroźny. Kierowca wycofujący swój samochód ciężarowy źle obliczył kąt i najechał tyłem na lewy przedni bok małego samochodu osobowego. Dziewczyna widziała całą sytuację ale sparaliżował ją taki strach, że nie była w stanie zatrzeć ani w żaden inny sposób dać drugiemu kierowcy znać, by uniknąć stłuczki. Byłeś świadkiem tego zdarzenia — przejeżdżałeś swoim wózkiem w pobliżu. Gdy już było po wszystkim i roztrzęsiona, zapłakana dziewczyna wysiadła z samochodu ty, zamiast ją pocieszyć, wesprzeć lub w jakikolwiek sposób spróbować pomóc, albo w ostateczności najzwyczajniej w świecie zignorować — jeszcze na nią nawrzeszczałeś. Że głupia i nawet nie zatębiała widząc zbliżającą się ciężarówka. „Mimo, że ta poruszała się wolniej od żółwia” — o, nawet mamy tu zapisane twoje własne słowa.

Anioł zrobił wymowną pauzę, żeby ocenić efekt. Bartłomiej nie zareagował w żaden widoczny sposób. Był pod wrażeniem szczegółowości akt, którymi dysponował jego rozmówca. Ale czego mógł się spodziewać? W takim miejscu...

Anastazy najwidoczniej uznał, że efekt jest zadowalający i niewzruszonym głosem kontynuował:

— Druga sytuacja. Siedemnastego października dwutysięcznego siódmego roku odbierałeś na poczcie swoją emeryturę. Wyjątkowo w tym miesiącu, zamiast lubianej — to cud! — przez ciebie starej pracownicy okienka, siedziała młoda, nieco wystraszona praktykantka. Już sam ten fakt wyprowadził cię z równowagi. Gdy zaś zaczęła się mylić i długo wykonywać swoje obowiązki — również na nią nawrzeszczałeś. Następnie zażądałeś widzenia z kierowniczką oddziału. Nie słuchając tłumaczeń i nieudolnych prób obronienia młodej dziewczyny, złożyłeś oficjalną skargę do akt. Przez nią nie można było zatrudnić dziewczyny po skończeniu się okresu praktyki, na

co ta bardzo liczyła. Prawie pół roku była bezrobotna, a jej sytuacja rodzinna nie należała do godnych pozazdroszczenia.

— Ale naprawdę ta obsługa trwała długo! — przypomniał sobie to zdarzenie i nieśmiało próbował zaooponować. Musiał się odezwać w jakikolwiek sposób, bo nieustanny monolog anioła zaczynał go przytłaczać. — Skąd mogłem wiedzieć, że to się tak skończy?

— Skąd?!? — zapieklił się i aż wrzasnął Anastazy. — Skąd? Może tak choć raz pomyślelibyśmy o innych? A nie tylko o własnym pępku na środku brzucha? Albo wczuć się w ich sytuację i chociaż spróbować ich zrozumieć? No, nie ważne... — uspokoił się równie szybko, jak wybuchnął. — Teraz będzie najlepsze.

Bartłomiej Czerwieniowicz zbladł.

— Trzydziestego czerwca dwutysięcznego ósmego roku, czyli całkiem niedługo przed twoim przybyciem... tutaj miałeś coś, co można nazwać kryzysem albo apogeum twojej gnuśności. Od samego rana wkurzałeś wszystkich. Po południu, nie mogąc wytrzymać sam ze sobą, zaczęłaś słuchać muzyki na cały regulator. Ulubione przez ciebie śląskie przyspiewki było słychać nawet dwa bloki dalej. Niedługo potem przyszła do ciebie młoda dziewczyna i poprosiła grzecznie o ściszenie magnetofonu lub założenie słuchawek. Chciała pouczyć się do egzaminu wstępnego na studia, który miała zdawać następnego dnia. Zwymyślałaś ją wrzeszcząc na całą klatkę schodową, że nie ma jeszcze dwudziestej drugiej i możesz robić, co tylko ci się żywo podoba.

— Ale naprawdę nie było jeszcze dwudziestej drugiej... — słabo oponował Bartłomiej.

— I co z tego ?? — wrzasnął ponownie Anastazy. — Znasz może artykuł pięćdziesiąty pierwszy kodeksu cywilnego obowiązującego w twoim kraju? Mówi on, że zakłócanie ciszy i spokoju innym osobom jest wykroczeniem przeciwko ładu i porządkowi społecznego, a jako takie podlega karze grzywny n i e z a l e ż n i

e... — anioł wyakcentował każdą sylabę. — ...od czasu, kiedy do zdarzenia doszło. Poza tym... — tu ściszył głos do niemalże szeptu. — Nawet gdyby takie prawo nie istniało... To, czy takie straszne byłoby choć przez chwilę bycie osobą kulturalną i myślącą o innych? A nie tylko o własnej, chudej, niepełnosprawnej dupie?

— Najlepsze teraz... — kontynuował po chwili. — Dziewczyna oblała egzamin wstępny na medycynę. Bardzo chciała się tam dostać. Było to już jej piąte podejście. Pięć lat prób zakończonych niepowodzeniem. Pięć lat życia de facto zmarnowane — piąty raz prawdopodobnie przez ciebie. Ta dawka emocji przy wyjątkowo niskiej samoocenie może być przysłowiową kroplą przepełniającą czarę goryczy. Tak też było i w tym przypadku. Wspomniana młoda kobieta była bardzo niestabilna emocjonalnie. W efekcie... popełniła samobójstwo.

Anastazy zrobił kolejną przerwę dla podkreślenia nastroju. Tym razem osiągnął swój cel. Bartłomiej Czerwieniowicz na przemian bladł i czerwieniał na twarzy. Z jego rozedrganych warg nie dolatywał żaden dźwięk. Wbił wzrok w twarz anioła i pocił się na całym ciele.

— Widzisz, mój drogi... — ton anioła wyraźnie wskazywał, że zbliża się on do końca swego wykładu. — To się fachowo nazywa związek przyczynowoskutkowy. Podejmując dziewięćdziesiąt dziewięć procent decyzji i wykonując dziewięćdziesiąt dziewięć procent czynności nie zastanawiacie się, do jakich konsekwencji mogą one doprowadzić. Tak trudno wam tam uwierzyć, że proste i — wydawać by się mogło — nieistotne sprawy mogą mieć tak kolosalne skutki dla innych. Kto by pomyślał, że głośno grające radio i warczący kaleka doprowadzi do śmierci dziewczyny? No, kto? Ależ oczywiście, oczywiście... — kontynuował Anastazy tonem, w którym kpina mieszała się z udawanym zrozumieniem. — To jej wina? Po, co głupia się zabijała, nie? Ty tylko słuchałeś sobie radyjka, nieco gło-

śniej niż należało i w zasadzie to za nic ciebie winić nie można. Prawda?

Twarz Bartłomieja ciągle sprawiała podobnie żalony widok, jak przed chwilą. Nadal siedział wyprostowany jak sprężyna, wbity w swój fotel i nie śmiał nawet drgnąć. Jego przerażone spojrzenie zmieniło się w zaskoczenie, gdy Anastazy niespodziewanie zerwał się ze swojego krzesła i kilkoma susami znalazł się przy nim.

— To były tylko trzy spośród tysięcy historii będących częścią twojego długiego życia — mówił opuszczając mu na głowę zakończone metalową miską urządzenie, które niewiedomo skąd nagle się wzięło. — Dzięki temu sprytnemu urządzeniu w błyskawicznym tempie przypomnisz sobie je wszystkie naraz...

Nim Bartłomiej zdążył zorientować się lub w jakikolwiek sposób zareagować, metalowa miska znalazła się na jego głowie, a Anastazy włączył klawisz uruchamiający urządzenie. Całość trwała ledwie kilka sekund. W tym czasie całym ciałem Bartłomieja rzucały niezbyt intensywne drgawki, a w okolicy jego zaciśniętych powiek pojawiały się miniaturowe wyładowania. Po zakończeniu operacji mały człowieczek wyglądał, jakby właśnie zszedł z krzesła elektrycznego. Właśnie po raz drugi w ciągu ostatnich kilkudziesięciu minut przed jego oczami przeleciał „film” z całego jego życia. Tym razem była to wersja nieocenzurowana. W efekcie tego dość prostego i częstego w tym miejscu zabiegu, drżał na całym ciele. Był roztrzęsiony fizycznie i psychicznie. Spod zaciśniętych powiek wyciekła mu jedna łza. Była to całkiem naturalna reakcja. Zwykle pamiętamy mniej niż pięć procent wszystkich naszych grzechów i win popełnionych w ciągu całego naszego życia. A tu nagle dostajesz świadomość ich wszystkich w jednym momencie. Można się pochłostać, prawda?

Bartłomiej Czerwieniowicz miał wrażenie, że za chwilę dostanie zawału serca. Chociaż, biorąc pod uwagę, że od kilkudziesięciu minut był martwy, był to dość nedorzeczny strach.

— O... o Jezu Chryste! — udało mu się jedynie wykrztusić.

— No, no, no! — zaoponował zdecydowanie Anastazy. — Nie wymieniaj imienia Szefa mego na daremno!

— Cccoo... Co teraz ze mną będzie? Pójdę... pójdę do piekła.

— No, nie przesadzajmy... — zachnął się anioł. — Gorszych ludzi już tu witaliśmy...

Po raz trzeci w trakcie tej rozmowy zrobił charakterystyczną pauzę, po czym kontynuował.

— Był z ciebie kawał skurczybyka na Ziemi. Ale dopiero od czasu wypadku. I my to rozumiemy. Wcześniej byłeś dobry, pomagałeś innym, biegałeś do kościoła i takie tam. Biorąc to wszystko razem do kupy wychodzi... — tu przerwał i przez chwilę robił coś na komputerze, jakby chciał się upewnić. — Wychodzi, że nie nadajesz się do piekła. Jest jednocześnie rzeczą oczywistą, że z taką kartoteką nie masz również co... „pukać do nieba bram...” — zanucił, uśmiechając się lekko.

— Toteż... — chrząknął zmieszany. — Istnieją dla ciebie generalnie dwie opcje. Możesz czekać na modlitwę z Ziemi. No wiesz — „za dusze w czyścicu cierpiące”, czy jakoś tak to tam nazywacie. Biorąc jednak pod uwagę twoje papiery, może to trwać... no, dość długo.

— Dokładnie... jak długo? — zapytał, odruchowo oblizując wargi. Myśl, że jego dusza nie zostanie skazana na wieczne potępienie uspokoiła go na tyle, że zaczęła wyłączyć z niego naturę księgowego.

— Nie chciał byś wiedzieć! — zripostował szybko Anastazy.

— W takim razie... jaka jest druga opcja?

— Możesz trochę popracować... dla nas!

W tym momencie Anastazy nadobnym ruchem schylił się pod biurko i wyciągnął stamtąd gustowne okulary słoneczne oraz czapkę bejsbolową z gustownym napisem „DBN”. Prawie ceremonialnym ruchem założy oba przedmioty na głowę. Bartłomiej z wrażenia zaniemówił.

— Departament Bezpieczeństwa Narodowego? — zapytał po chwili z niedowierzaniem.

— Nie! — odparł Anastazy głosem człowieka, któremu niespodziewane zdarzenie zepsuło rozkosz uczestnictwa w nabożnej niemalże ceremonii. — Dział Biurokracji Niebiańskiej...

Po chwili ciszy, jaką wywołało rozszyfrowanie prawdziwego znaczenia skrótu noszonego przez Anastazego na czapeczce, Bartłomiej stwierdził, że raczej nie ma innej opcji poza zgodzeniem się na współpracę. Anioł szybko odrzekł, że zawsze jest trzecia opcja. Wyraz „zawsze” zaakcentował. Ale ponieważ było nią piekło, obaj całkiem szybko, zgodnie i z charakterystycznym uśmiechem przyznali, że nie ma takiej opcji. Po tym anioł powiedział Bartłomiejowi, że musi wyszukać w banku wolnych etatów jakąś posadę. Po długim oczekiwaniu komputer po raz kolejny wydał z siebie charakterystyczne piknięcie.

— No! Jest coś w sam raz dla ciebie! — rzekł Anastazy. — Nasz centralny system przetwarza zawsze wszystkie cechy aplikanta i sprawdza pod ich kątem jego przydatność do określonego działu. Nie dziw się więc, że trwało to tak długo. Mamy tu trochę organizacji, departamentów, działów i komórek. Jeśli chodzi o ciebie, to dostałeś przydział do Archiwum Grzechów Głównych Ludzkości. Powinieneś być zadowolony. To nie jest trudna praca. Tylko nie bądź zdziwiony rozmiarami archiwum. Jest... dość duże... — zaakcentował te dwa wyrazy. — Jak na ziemskie pojmowanie przestrzeni...

— Dokładnie... jak duże? — zapytał Bartłomiej znowu głosem zdradzającym jego zawód.

— Hm... — zastanowił się Anastazy. — Wasi antropolodzy oszacowali, że od początku istnienia gatunku ludzkiego na Ziemi do czasów współczesnych zmarło nieco ponad sto siedem miliardów ludzi. Przemnóż sobie każdego z nich przez liczbę grzechów popełnianych w ciągu całego życia... Razy trzy kopie... i będziesz miał mniej więcej obraz całości. Z dużym zaokrągleniem można powiedzieć, że jest tam tyle kartek ile we wszystkich książkach w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych. Razy dziesięć milionów...

— Co ??? — Bartłomiej zbladł.

— Och, nie przejmuj się! Poradzisz sobie. Masz naprawdę dużo czasu... — znów zaakcentował te dwa ostatnie wyrazy. — Przy okazji... Słyszałeś może o twierdzeniu o nieskończonej liczbie małp?

6

Artur Kalisewicz siedział dalej w tym samym miejscu. Zgarbiony na krześle i pogrążony w myślach usiłował przypomnieć sobie jak najwięcej faktów i wydarzeń z przeszłości, z okresu poprzedzającego moment jego pojawienia się tutaj.

Rozmyślania młodego naukowca przerwało nagłe i niespodziewane otwarcie się przeszklonych drzwi. Zaskoczony Artur uniósł głowę i przyjrzał się osobie która wyszła zza tych drzwi. Był to niski, zgarbiony człowieczek mogący mieć na oko około sześćdziesiątki. Poruszał się dziwnym, niepewnym krokiem — Artur miał wrażenie, jakby na nowo uczył się chodzić po długim okresie siedzenia. Twarz wychodzącego stanowiła mieszaninę strachu i niepewności. Całe jego ciała sugerowało, że chwilę wcześniej przeszedł solidny wycisk. Fizyczny, psychiczny i emocjonalny. W ręku trzymał coś, co wyglądało jak wydruk komputerowy. Człowieczek nie spojrzął nawet na Artura, tak był pogrążony w myślach. Bez słowa sięgnął po swój

płaszcz wiszący na jednym z haków garderoby. Potem podszedł do drzwi wyjściowych. W momencie, gdy machinalnym ruchem sięgał do klamki zza oszklonych, wpółotwartych drzwi doleciał melodyjny głos:

— I pamiętaj... Pokój 9143A3119 łamane na Z. Siedemset dziewięćdziesiąte trzecie piętro!

Znaczenie tych słów nie zdążyło dotrzeć do Artura. Nie zdążył nawet zastanowić się, że na Ziemi nie buduje się tak wysokich budynków, by miały osiemset pięter, a może i więcej. Prawie natychmiast ten sam, równie melodyjny głos zawołał:

— Następny proszę!

Powolnym ruchem, jakby ważąc i sprawdzając każdy krok, wstał z krzesła i zaczął zbliżać się do przeszklonych drzwi. Przez krótką chwilę miał dziwną wizję. Zdawało mu się, że spoza drzwi bije tak intensywne, oślepiające niemalże światło, iż wszystko wokół gaśnie w ciemności. Miał wrażenie, że porusza się długim, niezwykle ciemnym tunelem w stronę jasno oświetlonych drzwi. Nie bał się ani trochę. Wprost przeciwnie — światło przyciągało go, jak magnes i wypełniało jego duszę uczuciem radości. Był niemalże pewien, że to co znajdzie poza drzwiami jest dobre i że całe życie dążył tylko do tego, by dostąpić zaszczytu przekroczenia progu tych drzwi. Potem wizja znikła. Równie szybko, jak się pojawiła. Stał przed zwykłymi, oszklonymi drzwiami, które prowadziły zapewne do jakiegoś gabinetu. Dopiero w tym momencie dojrzał tabliczkę przybitą wysoko nad drzwiami, której za pierwszym razem nie zauważył. Było to złota tabliczka przykręcona czterema śrubami do drewnianego podkładu. Wygrawerowano na niej: „Anastazy. Gabinet nr 91914. Sekcja Europy Wschodniej. Departament Nowych Przyjęć. Przedpokój”.

Chwilę pozostał jeszcze przed progiem, a potem zdecydowanym krokiem wszedł do środka. Całe pomieszczenie sprawiało wrażenie znacznie większego niż ktokolwiek mógłby sobie to wyobrazić po

spoglądaniu przez półprzezroczystą szybę. Lecz prawie całą jego przestrzeń zajmowały przepastne szafy. Było ich kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset. Miało się wrażenie, że to ogromne, ciągnące się w mrok archiwum. Do niego był z kolei „dołączony” mały gabinet, znajdujący się na przedzie, pomiędzy wejściem a sprawiającym wrażenie nieskończonego korytarzem z szafami. Sam gabinet wyglądał jak typowe pomieszczenie pracy jakiegoś urzędnika. Dość duże biurko, na blacie monitor i klawiatura schowanego zapewne pod biurkiem komputera. Dalej pojemnik na kilka długopisów, zszywacz, dziurkacz, linijka, kalkulator. Najwięcej miejsca na biurku zajmował gruby plik arkuszy kalendarzowego rozmiaru, służący zapewne do prowadzenia notatek. Poza biurkiem z komputerem, długim korytarzem z szafami za nim, wieszakiem na płaszcze i parasole oraz parą krzesel nie było w pomieszczeniu już nic więcej. Artur zorientował się, że wewnątrz panował dwojaki rodzaj oświetlenia. Główny gabinet rozjaśniony był przez światło naturalne, padające z dużego okna znajdującego się po lewej stronie od wejścia. Zerknął w tamtym kierunku, ale z tej odległości nie dostrzegł niczego za oknem poza... chmurami. Cały długi korytarz z szafami, znajdujący się z tyłu biurka i ciągnący niemalże w nieskończoność był za to oświetlany światłem sztucznym — punktowymi lampkami umieszczonymi bezpośrednio w suficie. Przy czym, światło padało tylko z kilkunastu pierwszych i oświetlało co najwyżej pierwsze kilka szaf. Reszta szaf i korytarza niknęła w półmroku, a jeszcze dalej — w zupełnej ciemności. Po zaobserwowaniu tych wszystkich szczegółów, Artur skierował swój wzrok na postać siedzącą na krześle naprzeciwko niego.

Był to młody mężczyzna, w wieku trudnym do odgadnięcia, ale raczej na pewno straszy od Artura. Jego twarz była przecudna — tak urzekająco piękna, że robiło to wrażenie nawet na nim mimo, że nigdy do tej pory nie podobał mu się żaden mężczyzna. Było to piękno niemalże absolutne. Mężczyzna miał rysy przywodzące na

myśl perfekcję, długie, kręcone, kasztanowe włosy i jakiś nieodgadniony uśmiech na twarzy. Z uśmiechu tego było ciepło i spokój. Artur czuł się jak zahipnotyzowany. Uniesiony na wyżyny sam nie wiedział czego, oczarowany i zniewolony. Nadal nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, co tu robi i skąd się tu wziął. Nie wiedział też, kim jest patrzący na niego mężczyzna. Ale jedno wiedział na pewno — był to anioł. Jego analityczny, naukowy mózg rzadko kiedy dopuszczał poznanie czegoś bez dowodów, doświadczeń i przekonania samego siebie. Lecz nie tym razem. Artur był przekonany, że ma do czynienia z aniołem, a myśl ta wypełniała mu głowę. Było to dla niego coś tak oczywistego, jak pewność, że rozgrzany do czerwoności drut oparzy, a woda gasi pożar. Że lód na pewno jest zimny, a próba chodzenia po powierzchni jeziora może skończyć się źle.

Mężczyzna po przeciwnej stronie biurka ubrany był w luźne ubranie, które Arturowi przywodziło na myśl egipską galabiję, rodzaj jakiejś tuniki lub może długą, powłóczystą szatę liturgiczną. Przynajmniej tak to wyglądało od szyi do mniej więcej pasa, gdyż mężczyzna cały czas siedział za biurkiem. Nie podniósł się z krzesła nawet na chwilę. Spojrzał na wchodzącego wzrokiem z którego promieniował absolutny spokój, pewność siebie ale i trochę władczości. Prawie niedostrzegalnie uniosł kąciki ust w odrobinę mocniejszym uśmiechu, rozchylił delikatnie boskie wargi i...

— Wybacz, że nie wstaję na powitanie, ale cholernie boli mnie kręgosłup!

Cała magia, czar i uniesienie prysły. Artur wybuchnął odruchowym, gromkim śmiechem. Anioł w reakcji na to również uśmiechnął się szeroko i gestem dłoni wskazał mu, by ten usiadł na krześle. Potem rzucił okiem na ekran komputera i rzekł:

— Nazywasz się Artur Kalisewicz. Przeczytałeś tabliczkę przed wejściem, więc wiesz, że nazywam się Anastazy. Według ziemskiej

rachuby lat niewiele różnimy się wiekiem, pozwól więc, że będę zwracał się do ciebie nieformalnie, „per Ty”?

Artur nie miał okazji wyrazić swojego zdania na ten temat. Im bliżej końca powyższej wypowiedzi był Anastazy, tym bardziej zwalniał potok swych słów, a głos jego cichł. Za pierwszym razem tylko zerknął na ekran komputera, odruchowo. Teraz spojrzął na niego drugi raz, a to co tam zobaczył, wyraźnie przykuło jego uwagę. Nie umiał ukryć swojego zaskoczenia. Wydał z siebie krótkie „O!”, potem nieco dłuższe „O...”, a na koniec zupełnie długie „Ooooo...”.

— Coooo? — zareagował podobnie przeciągłym pytaniem Artur, zupełnie zbity z pantałyku.

— Ty... ty jesteś Przypadek Specjalny. Więcej... Wyjątkowy Przypadek Specjalny! — dokończył szeptem, przy czym schylił lekko głowę z nadobnością. — Pierwszy w moim życiu...

— Czy to oznacza coś szczególnego?

— O tak! — odparł szybko Anastazy i nerwowo pokiwał głową. — Twoja sprawa będzie rozważana wyjątkowo długo. Jest sporo do wyjaśnienia... Poza tym, nie mogę zajmować się tobą sam. Do obsługi Przypadków Specjalnych potrzebna jest zawsze dwuosobowa komisja. A w przypadku Wyjątkowych Przypadków Specjalnych — drugim członkiem tej komisji musi być anioł z samej góry, przedstawicielstwo zarządu.

Artur zrobił minę, jakby nie miał bladego pojęcia, co Anastazy do niego mówi. Tak było z resztą w rzeczywistości. Anioł ani trochę nie przejął się jego reakcją. Wyciągnął prawą rękę i... sięgnął po słuchawkę telefonu, który właśnie zmaterializował się w tamtej części biurka. Artur byłby gotów poświęcić obie ręce w poparciu twierdzenia, że gdy wchodził, żadnego telefonu nie widział.

— Pozwól, że zadzwonię do swojej sekretarki — powiedział Anastazy. Podniósł słuchawkę telefonu do ucha. Nie wybierając żadnego numeru czekał na połączenie.

— Chryzantema? — zapytał, gdy usłyszał damski głos w słuchawce. — A, to ty, Aleksandryno. A co? Acha! Chryzantema wzięła urlop. Pięćdziesiąt lat? No, patrz — zapomniałem. Słuchaj, jest sprawa. Mam tu... nie uwierzysz... — zrobił pauzę. — Wyjątkowy Przypadek Specjalny! Tak, tak! — w jego głosie słyhać było radość i dumę, a radosny uśmiech pojawił się na jego twarzy. — Sam nie mogłem w to uwierzyć na początku. Chyba wreszcie doczekałem się upragnionego awansu. Ale tak niespodziewanie... Ale, ale... — teraz nagle jego głos spowaźniał. — Wiesz, co to oznacza? Tak, dokładnie... nikogo mi już nie wpisuj do kalendarza. Całą moją kolejkę skieruj do kogoś innego. Do kogo? Hm... Izydor coś ostatnio narzekał, że od dekady ma niewielki ruch i się trochę nudzi. No, to do niego. A! No i najważniejsze! Zadzwoń do Konstancji... Tak, wiem — na samą górę. Też bym się bał, ale od czego mam ciebie? No, więc... Zadzwoń do Konstancji powiedz jej, że mam tu Wyjątkowy Przypadek Specjalny, no i... No, ona już będzie wiedzieć co ma dalej z tym zrobić. Powinna po chwili oddzwonić ci, kto przyjdzie do mnie. No, to bądź tak dobra i też mi przedzwoń, żebym się... no wiesz, w razie czego mógł jakoś przygotować. Dobra, to chyba wszystko. Dzięki serdeczne. Kochana jesteś. No, Szef z Tobą!

Anastazy odłożył słuchawkę na widełki telefonu, który po chwili zniknął równie tajemniczo, jak się wcześniej pojawił. Potem zerknął przeciągle na Artura i rzekł:

— Tak, tak... — zaczął powoli i z przekąsem, jakby sam zastanawiał się, co ma powiedzieć dalej. — Za niedługi czas powinien pojawić się tu ktoś z samej góry i wówczas będziemy mogli konkretnie zająć się twoim przypadkiem. Do tego czasu posiedzimy sobie, pogawędzimy. Nie pytam, czy się czegoś napijesz lub zjesz, bo tu nie odczuwa się głodu, ani pragnienia. Ale może chcesz o coś zapytać?

Artur dopiero teraz uświadomił sobie, że spędził w tym miejscu kilka godzin, gdziekolwiek by nie był, i nawet przez sekundę nie

odczuł, że chce mu się jeść lub pić. Co ciekawe — nie chciało mu się też siusiu. Nie zastanawiał się jednak nad tym zbyt długo, tylko od razu przeszedł do zmasowanego ataku na Anastazego:

— Dobra. Zaczniemy od początku. Co to za miejsce, skąd się tu wzięłam, co ja tutaj robię i dlaczego nie pamiętam praktycznie niczego z przeszłości?

Powoli... — zachnął się anioł z uśmiechem. — Powoli i po kolei. Przykro mi to mówić, jeśli będzie to dla ciebie szokiem, ale jesteś tu, bo umarłeś. Kwestia twojej śmierci jest niezwykle skomplikowana i zawiła, dlatego zostałeś zaszeregowany jako Wyjątkowy Przypadek Specjalny i dlatego w tej chwili nie mogę powiedzieć ci nic więcej poza stwierdzeniem faktu oczywistego — że nie żyjesz. Całej reszty dowiesz się, gdy zaszczyci nas swoją obecnością przedstawiciel góry. Ja nie mam uprawnień, by udzielać informacji w tym zakresie osobie sklasyfikowanej jako Wu Pe eS.

Artur słuchał w milczeniu. Anastazy zrobił pauzę, więc Artur drgnieniem powiek dał mu znać, żeby ten kontynuował.

— Nie pamiętasz praktycznie nic, bo w podróży od was do nas przechodzisz przez Specjalną Komorę do Całkowitego Usuwania Pamięci Petentów. Ma to na celu oczyszczenie i poszerzenie pamięci przed rozmową z urzędnikiem. Normalnie na Ziemi używacie do dziesięciu procent swego mózgu. Nieliczni geniusze — do piętnastu procent. Pamiętacie zaś do pięciu procent wszystkich wydarzeń, które były waszym udziałem przez całe życie. Przejście przez Specjalną Komorę do Całkowitego Usuwania Pamięci Petentów powoduje, że tak się wyrażę, sformatowanie pamięci. Od tej chwili może ona przechowywać nawet dziesięć razy więcej niż poprzednio. Na koniec rozmowy z urzędnikiem kompletny życiorys danego delikwenta jest mu wtlaczany do poszerzonej pamięci. W ten sposób pamięta on wszystkie... — to słowo Anastazy wyraźnie zaakcentował. — Wszystkie swoje czyny, od urodzenia, aż do momentu

śmierci. To dość traumatyczne przeżycie, ale konieczne — tak wynika z regulaminu. Są takie osoby, które po przejściu przez ten proces mają ochotę się pochlastać. Ale sam chyba rozumiesz, że w tym warunkach to raczej trudne. Pamiętasz jakieś szczątki swojej pamięci, bo komora niestety nie działa idealnie. Jest przeciążona ostatnimi czasy ilością petentów, którzy przez nią przechodzą...

— Kontynuuj. — rzekł Artur głosem spokojnym, jak podczas ważnego wykładu na uczelni.

— Niewiele zostało już do dodania. Pytałeś się, co to za miejsce. No, więc jest to Przedpokój.

— Przedpokój? Czyli... Czyściec?

— Nie... — Anastazy zamachał nerwowo obiema rękami i zaprzeczył głosem tak znudzonym, czy wręcz zniesmaczonym jakby następujące dalej wyjaśnienie musiał powtarzać tysiące razy. — Kto wam takie pierdoły wsadza do głów tam, na dole?

Wziął głęboki oddech i zaczął:

— Z tego, co zdążyłem się zorientować, to ktoś tam, na dole, kiedyś sobie coś poprzestawiał i wyprodukował opowiastkę, że po śmierci dusza ludzka trafia do jednego z trzech miejsc, w zależności od swoich czynów — do Nieba, Piekła lub Czyścica. W zasadzie jest to prawda, ale...

— Ale? — podchwycił Artur.

— Widzisz. Te trzy domeny istnieją. Ale oprócz nich istnieje wiele innych. To nie jest taka łatwa sprawa, podzielić czyny człowieka na dobre, złe i półdobre, półzłe, a następnie w zależności od tego podziału wysłać go do jednej z trzech domen. Ludzie są tworem niezwykle skomplikowanym — wszak Szefer utworzył ich na swój obraz i podobieństwo, a On do najprostszych osób nie należy... Mamy...

W tym momencie wywód Anastazego przerwał głośny dźwięk telefonu. Aparat ponownie pojawił się znikąd po lewej stronie biur-

ka. Anastazy podniósł słuchawkę, a gdy tylko osoba po drugiej stronie przedstawiła się — wystrzelił ze swojego krzesła jak kula z armaty. Stanął na baczność, wyprężył się jak struna, twarz jego stała się niemalże nabożna, a z wzroku dało się wyczytać bezgraniczne uwielbienie. Do słuchawki mówił głosem ściszym niemalże do szeptu:

— Generał Gabriel... Tak, generale... Wyjątkowy Przypadek Specjalny! Tak, jest — oczywiście, że czekam! Zgodnie z regulaminem. Sam generał? Oczywiście! To dla mnie niewypowiedziany zaszczyt... Nie śmiałybym jednak odciągać od obowiązków... Tak, jest! Oczywiście, panie generale...

Odłożył słuchawkę ruchem, który największych ziemskich królów i książąt wprawiłby w zakłopotanie. Potem trwał długą chwilę w nabożnym uniesieniu, zupełnie wyrwany z otaczającej go rzeczywistości. Artur miał wrażenie, że mógłby tak trwać... w nieskończoność?

— Ekhm... — dość znaczącym chrząknięciem przywrócił go do rzeczywistości.

— A tak, tak... No, więc nie chcę się mądrzyć, ale moim zdaniem to ty jesteś Super Wyjątkowy Przypadek Specjalny! Jeden na milion lub jeszcze lepiej! Sam Archanioł Gabriel, generał niebiańskich zastępów pofatyguje się tu do nas, by przeprowadzić z tobą rozmowę.

Artur cały czas był pod wrażeniem miejsca, w którym się znalazł i rzeczy, które działy się wokół niego. Tym większym, gdy dowiedział się, że umarł i usłyszał to wszystko, co Anastazy do tej pory już mu przekazał. W głębi duszy — o ile można użyć takiego zwrotu w tym miejscu — był jednak naukowcem i pragmatykiem. Rzadko kiedy ulegał wpływowi emocji czy uniesienia, a tytuły, stanowiska, prestiż i autorytet nigdy nie stanowiły dla niego kryterium oceny

drugiej osoby. Dlatego w odpowiedzi na słowa Anastazego użył słów dosadnie prostych i zaskakująco spokojnego tonu.

— Mam się zacząć bać?

— Nie, no — skądże! Chociaż, sam już nie wiem... Może powinienieś? W sumie jednak twoja reakcja mnie zaskakuje. Nie jesteś ani trochę przejęty?

— Drogi Anastazy... — zaczął Artur powoli i z namysłem. — W tej chwili jestem na etapie przetrawiania myśli, że umarłem. Pozwól więc, że do tytułów, dystynkcji i wrażenia, jakie powodują dojdziemy nieco później. Czy w międzyczasie nie zechciałbyś kontynuować swego wykładu? Muszę przyznać, że mnie dosyć wciągnął...

— A tak, oczywiście! No, więc... Faktycznie, mamy trochę czasu, nim przybędzie Generał Gabriel. Na czym to ja skończyłem?

— Na tym, że podobno Raj, Piekło i Czyściec to nie wszystko...

— A tak, tak... Już kojarzę...

Zastanowił się jeszcze przez chwilę w milczeniu i kontynuował.

— Zacznijmy od wyraźnego rozróżnienia czynów człowieka od jego wiary i od religii. To, co kładą wam do głów tam, na dole... — sugestywnie wskazał ręką w dół. — Jest, delikatnie mówiąc, nie do końca prawdą. Generalna zasada jest taka. Jest jeden Szef, który stworzył to wszystko. Powody dla których zdecydował się na akt kreacji pozostają poza zdolnościami pojmowania umysłu ludzkiego. Nie jestem w stanie wytłumaczyć ci tego nawet, gdybym chciał. Szef wszystko stworzył i wszystkim zarządza. Na Ziemi Szefa różnie nazywają. Raz to: Bóg, Allach, Jahwe, Jehowa, Budda. Innym razem: Kriszna, Rama, Joruba lub Abiku. Ormuzd lub Ahura Mazda. Jeszcze gdzie indziej znają go jako: Dogona, Huna, Cargo, Bona, Orixása, Vodunsa, Jaha, Shintō, Tao, Czeondo, Haneullima, Quimbanda albo Kado. I wiele, wiele innych. Ile nazw, tyle religii. Ile

religii, tyle wierzeń. Często, bardzo często sprzecznych ze sobą. I jak tu teraz obiektywnie ocenić, kto winien trafić, gdzie? Dlatego przyjmujemy jedno, proste kryterium. Nazwane Kryterium Chrystusa — od drugiego danego przez Niego przykazania. Miłuj bliźniego swego, jak siebie samego. Jeżeli czynisz coś, co chciałbyś by czyniono tobie lub wobec ciebie — to prawdopodobnie czynisz dobrze. Jeżeli zaś drugiej istocie, bo nie ograniczamy się tylko do ludzi, wyrządzasz coś, czego sam byś nie chciał doświadczyć — no, to masz problem... Wbrew pozorom, stosując takie kryterium można dokonać dość dokładnej oceny zachowania praktycznie każdego człowieka, bez zwracania sobie głowy tym, w co wierzył, czy jak nazywała się jego religia. Zaś na podstawie tego, czy czynił dobro, czy zło — można wstępnie zaklasyfikować taką osobę do odpowiedniej domeny. Ale jest to tylko początkowa kategoryzacja i obowiązuje tu wiele wyjątków.

— Tak... — mruknął głęboko zainteresowany Artur, chcąc podtrzymać wywód.

— Co na przykład z nienarodzonymi dziećmi lub tymi, które zmarły zanim ich umysły dojrzały na tyle, by mogły rozróżnić dobro od zła? Jak można skierować ich do którejkolwiek z trzech domen podstawowych? Odpowiedź jest prosta. Nie można! Dlatego dla nich stworzono Limbus Puerorum — domenę zwaną też Otchłanią lub Zatoką Dzieci. Według niektórych filozofów i myślicieli ziemskich — czwarty stan poza Niebem, Piekłem i Czyśćcem. Prawie dobrze. Z tą tylko różnicą, że nie jest to czwarty, tylko... kolejny stan. Co dla odmiany z tymi, którzy mordowali, gwałcili i dopuszczali się innych okrutnych czynów, bo ktoś powiedział im, że tak jest właściwie i tak powinni postępować? Hitlerowcy, fanatyczni wyznawcy religii, zmanipulowani członkowie organizacji zbrojnych? Szaleńcy i ludzie nie w pełni normalni? Nie zapominając o narkomanach i alkoholikach, którzy w nałogowym amoku potrafią krzywdzić

fizycznie i psychicznie, a nawet zabijać. Czy wszyscy tacy mają bezwarunkowo trafić do Piekła? A jeśli tak — to dlaczego? Przecież w wielu przypadkach byli zbyt ograniczeni lub zbyt zmanipulowani, by pojąć, że robią coś złego. Dla nich przygotowano kolejną domenę. Zbliżoną do Piekła, bo wszak aniołkami to oni nie byli. Doświadczają tam podobnych mąk, ale nie są one wieczne i mają prawo zamienić je na coś innego — na przykład na pracę dla struktur niebiańskich, piekielnych lub na Ziemi. Dalej. Co z tym, którzy robią źle, wiedzą, że to co robią jest złe, ale muszą to robić — bo mają taki rozkaz wydany przez kogoś od nich ważniejszego albo wybierają tak zwane „mniejsze zło”? Żołnierze na wojnie. Szpiedzy i agenci, którzy często zabijają po to, by zapewnić bezpieczeństwo swemu krajowi. Będący u steru władzy, którzy w skrajnych przypadkach muszą podjąć decyzję o poświęceniu jednych, w imię życia innych. I tak dalej. Czy ich również bezwarunkowo i bezapelacyjnie powinniśmy wtrącić do Piekła razem z tymi, którzy czynili zło z pełną premedytacją, z własnej, nieprzymuszonej woli i często czerpiąc z tego przyjemność? Nie — dla nich istnieje kolejny stan. No... Jest też Kriohiberna...

— Kriohiberna? — zapytał Artur z niedowierzaniem i z trudem wymawiając tą nazwę.

— Tak, Kriohiberna. To specjalna domena lub stan, jeśli wolisz, w którym przebywają dusze tych, którzy umarli, ale tak nie do końca. Nielicznych śmiałków w obecnym stanie rozwoju ziemskiej cywilizacji, a w niedalekiej przyszłości — całych rzesz ludzi, którzy kazali zamrozić się w nadziei, że przyszłość przyniesie lekarstwa na ich choroby lub rozwiązania na ich problemy. Tacy ludzie nie mogą trafić do żadnej z wcześniej wymienionych domen, bo oficjalnie jeszcze nie umarli. Nie mogą też pozostawać na czas zamrożenia w nieustającej pustce i nicości, bo prawdopodobnie by zwariowali. Trafiają więc do takiej domeny przejściowej, którą jest Kriohiberna.

Mogą wykonywać tam pewne czynności, a po upływie określonego czasu — powrócić na Ziemię. Przed powrotem przechodzą oczywiście przez Specjalną Komorę do Całkowitego Usuwania Pamięci Petentów, co gwarantuje tam, że na dole nie zdradzą spraw, których zdradzić raczej nie powinni. No, a co z tymi, którzy chcą wrócić na Ziemię po swojej śmierci? Narodzić się na nowo i od nowa, od zera przeżywać drugie życie?

— To reinkarnacja istnieje? — zawołał z szokiem w głosie Artur.

— A kto powiedział, że nie? — odparł spokojnie Anastazy. — Pewnie, że istnieje i istnieć będzie tak długo, jak długo cały ten interes będzie się kręcić. Mało tego — powrót na ziemię jest możliwy na dwa, a w zasadzie na trzy sposoby. Pierwszy z nich, już ci opisałem — to powrót po przebywaniu we wnętrzu Kriohiberny. Drugi — to reinkarnacja. Biorący udział w obu rodzajach powrotu przechodzą oczywiście przez Specjalną Komorę do Całkowitego Usuwania Pamięci Petentów. Trzecią formą powrotu jest zostanie aniołemstróżem.

— Tak po prostu? — zdziwił się młody naukowiec.

— No, nie do końca... Trzeba przejść specjalne szkolenie, wypełnić stopy podań, dostarczyć zaświadczenia o niekaralności i ogólnej zdrowej kondycji. I tak dalej. Ale poza tym, to tak.

— To aniołami nie są specjalne twory boskie, tylko... zwykli ludzie po śmierci?

— Pewnie, że tak! Człowieku, pomyśl tylko. Wedle szacunków waszych naukowców, od początku istnienia rodzaju ludzkiego dostarczyliście nam w sumie już przeszło sto miliardów dusz! Nawet w niebiańskich wymiarach to dość sporo. Gdybyśmy mieli „zagospodarować” je tu wszystkie i jednocześnie „zorganizować” na Ziemię podobną armię aniołówstróżów — wszak każdy żyjący musi posiadać własnego — to wybac, ale byśmy tu się lekko ocipieli. A tak —

łączymy te dwie funkcje i jest wilk syty i owca cała, jak to się u was mówi. Ci, którzy chcą, wracają na Ziemię strzec i dyskretnie pomagać tym, którzy jeszcze tam są. Pracują tak od tygodnia do dajmy na to... tysiąca lat. Gdyby zaś się im to znudziło — w każdej chwili mogą złożyć podanie o przekwalifikowanie. Proste, nie...

— Tak, proste... — odrzekł po chwili i z namysłem Artur. — Coś jeszcze w tym temacie?

— W sumie, to tak można by wymieniać w nieskończoność, jakkolwiek dwuznacznie to brzmi. Ale nie o to w tym chodzi. Mówię ci to wszystko, żebyśmy się razem nie nudzili w oczekiwaniu na Generała Gabriela. Nie muszę zaspokajać twojej ciekawości. Po rozmowie z nim, gdy przejdiesz przez proces ponownego zapisywania twojej pamięci, przypomnisz sobie nie tylko całe swoje życie, ale poznasz również odpowiedzi na nurtujące cię pytania i wszystko, co wiedzieć powinieś, by się tu w miarę swobodnie poruszać. Kończąc zaś mój wykład, powiem ci, że samego Czyścica są dwa rodzaje. Pierwszy z nich jest rodzajem poczekalni. Jeżeli ktoś się na to decyduje — wierz mi, że jest takich mało, a i oni szybko zmieniają zdanie — trafia do specjalnego stanu, w którym oczekuje na modlitwy z Ziemi mające oczyścić jego duszę z błędów i grzechów. Uzyskuje tym samym dostęp do Raju, tym razem już bezwarunkowy. Lecz takie oczekiwanie może trwać długo. Bardzo długo — nawet według standardów niebiańskich. Chociaż czas tu istnieje w trochę innej formie, niż tam, na dole przywykliście do pojmowania go, to uwierz mi — takie czekanie może zanudzić praktycznie każdego.

— A druga forma Czyścica?

— W drugiej wersji wszystkie złe czyny i grzechy popełniane na Ziemi dany delikwent odpracowuje dla... nas?

W tym momencie Anastazy pozwolił sobie na podobny teatrzyk, jakiego nieco wcześniej doświadczył Bartłomiej Czerwienowicz. Wprost nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. Nie pomy-

ślał jednak o tym, że zaszeregowanie jakiegoś petenta jako Wyjątkowy Przypadek Specjalny lub nawet Super Wyjątkowy Przypadek Specjalny to nie... przypadek. I delikwent taki może wykazywać specjalne reakcje. Na przykład — zaskakiwać innych w momencie, kiedy sam powinien być zaskoczony...

— Dział Biurokracji Niebiańskiej? — rozpoznał bezbłędnie skrót na czapeczce Anastazego, gdy ten przywdział ją na głowę teatralnym ruchem.

— Cccooo? — anioł równie teatralnie wybałuszył oczy z wrażenia. — Skąd wiedziałeś?

— To proste. Słuchając twojego wywodu na jeden tylko temat — miejsc, do których można trafić po śmierci, szybko domyśliłem się, że macie tu to wszystko całkiem sprytnie zorganizowane. Zaś tam, gdzie coś jest sprytnie uporządkowane, biurokracja zwykle jest gigantyczna. Resztę składników nazwy twojej „firmy” można było dość łatwo wykombinować.

— Zaskakujesz mnie... — odpowiedział Anastazy z ledwie tajonym podziwem.

— Dziękuję, to miłe. Ale wyobraź sobie, że na Ziemi słyszałem to kilka razy. — Artur z kolei nie taił się wcale ze swoją dumą, a nawet lekką pychą. Anastazy nie zwrócił na to większej uwagi.

— To w zasadzie wyczerpuje temat — ciągnął dalej. — Czy jest coś, co cię jeszcze interesuje?

— O... Sporo rzeczy! — zachnął się Artur. — Zacznijmy od podstawowej. Jesteś mężczyzną?

— A co to znaczy? — Anastazy zrobił pauzę, ale nie doczekawszy się odpowiedzi ciągnął dalej. — Płeć, waga, wiek, i wiele innych przymiotów ludzkich to sprawy dotyczące świata doczesnego. Nie obowiązują tutaj lub obowiązują, ale inaczej niż ludzie to pojmują. Nie jestem mężczyzną. Nie jestem też kobietą. W ogóle nie jestem. Jawię ci się w taki sposób, bo tego sobie życzysz.

— O... — Artur wydał z siebie ten sam dźwięk, co przed chwilą, chociaż wyraźna zmiana w intonacji służyła obrazowaniu podobnej zmiany w jego reakcji. — Ja sobie tego życzę?

— Podświadomie! — dodał szybko anioł. — My tu, w Przedpokoju, jawimy się naszym petentom w taki sposób, w jaki ci sobie tego życzą. Generalnie mężczyźni wolą ładne, młode, seksowne dziewczyny, a kobiety — zniewalająco przystojnych mężczyzn. To oczywiście generalizacja. W szczegółach ściśle zależy to od wieku, poglądów, wyznania, religii i tak dalej. Do czego jednak zmierzam, co jest istotne tutaj, to fakt — że to wszystko jest iluzją. Jawą, wyobrażeniem. Ty byłeś naukowcem, miałeś pragmatyczne podejście do życia, więc może dlatego widzisz mnie jako mężczyznę. Kto to wie? Podejrzewam, że z tego samego powodu, to znaczy — z twojego charakteru i poglądów — wynikło, że trafiłeś od razu do Przedpokoju, czyli na rozmowę. W przypadku wielu osób moment śmierci jest jednak jedną wielką inscenizacją. Również w stu procentach zależną od tego, czego podświadomie życzył sobie lub oczekiwał dany delikwent. Zajmuje się tym Dział Inscenizacji.

— Że jak? — zdziwienie Artura rosło.

— Dział Inscenizacji. Człowieku! Ty nie masz chyba bladego pojęcia o tym, czego to ludzie nie wymyślą! Wielu z nich wybiera — ciągle podświadomie — długi, czarny tunel ze świetlistym punktem na końcu. To akurat jest niezłe, bo łatwe do zorganizowania. Często wybierane, więc wszystkie rekwizyty — takie, jak na przykład czarne zasłony i latarka — są zwykle pod ręką. Ale niektórzy to normalnie przechodzą samych siebie. Chcą po śmierci być na polowaniu albo w skarbcu pełnym złota, na najwyższym szczycie górskim, pod wodą. Zdarzają się hiperoryginały. Chcą po śmierci trafić do jakiejś Nibylandii, Śródziemia, na planetę Tatooine i... Szef jeden raczej wiedzieć, gdzie jeszcze? Normalnie — wszelkie ludzkie pojęcie przechodzi...

— I wy to wszystko musicie zorganizować?

— Nie musimy. Ale chcemy. Jeżeli „pacjent” zasłużył sobie na to odpowiednim życiem, to czemu mamy mu odmawiać tej przyjemności? W końcu umiera się tylko raz, nie?

W tym miejscu zaśmiał się tak energicznie, że aż się posmarkał. Szybko jednak mina mu spoważniała, bo zaskoczony i skołowany Artur nie rozumiał dowcipu i nie uśmiechnął się ani na sekundę.

— Czasami... — ciągnął Anastazy. — Gdy delikwent ma wyjątkowo wymagające marzenia co do swojej śmierci, Dział Inscenizacji musi stanąć na głowie i przygotowywać się do całej imprezy miesiącami. Coś niecoś na ten temat wiem, bo przed oddelegowaniem do Przedpokoju długi czas tam pracowałem. Pamiętam, jak kiedyś przez tydzień usiłowaliśmy przebrać kilku aniołów za Hobbitów. Lecz to nie był jeszcze szczyt. Kiedyś schodził młody chłopak wprost zakochany w „Piotrusiu Panu”. Człowieku — co to były za jaja, żeby stu kilogramowego anioła przerobić na Dzwoneczek...

— Czyli... — zastanowił się Artur. — Ja przez swój pragmatyzm, naukowe i pozbawione emocji podejście do życia straciłem okazję brania udziału w jakiejś niezłej zabawie?

— Słuchaj. Nie wiem, czy z tego powodu. Być może zostałeś przetransportowany bezpośrednio do Przedpokoju, z pominięciem Działu Inscenizacji, właśnie dlatego, że zaszeregowano cię jako Wyjątkowy Przypadek Specjalny? Na to pytanie będzie nam obu mógł odpowiedzieć Generał Gabriel, gdy się tu zjawi. Osobna kwestia, czy wiele straciłeś? Musisz bowiem wiedzieć, że czasami zdarzają się takie sytuacje, gdy Dział Inscenizacji nie chce, ale musi odgrywać swój teatrzyk. Zwykle dotyczy to istot z natury wyjątkowo złych. Wówczas przygotowywane jest „przyjęcie”, które już na wstępie ma takiego delikwenta „rozmontować” psychicznie i uświadomić mu, że to, co go czeka w „nagrodę” za jego życie nie będzie należało do najprzyjemniejszych rzeczy.

— Oj, to brzmi trochę paskudnie... zauważył Artur.

— No, bo i jest! A wracając do twojego pytania o płęć. Musisz nauczyć się postrzegać rzeczywistość, która teraz cię otacza w taki sposób, w jaki ona faktycznie funkcjonuje. Nie w ziemski. Tu naprawdę wiele z tego co widzisz wygląda tak, jak ty chcesz to widzieć. To samo dotyczy tego, jak inni cię postrzegają. Widzą cię takim, jakim ty chcesz być widziany. Pamiętasz tego faceta, co wyszedł ode mnie przed tobą?

— No...

— Kilkanaście lat przed śmiercią miał poważny wypadek samochodowy i wylądował na wózku inwalidzkim. A tutaj? Zdrowy, chodzi o własnych siłach, chociaż na nowo musiał się tego nauczyć. Do tego młodszy o kilka lat niż faktycznie miał w chwili śmierci. Starsze kobiety, które całe życie tęskniły za swoją „zgubioną” urodą i seksapilem — tu znowu są młode i pociągające. Facet, który jak jego żywot długi ważył ponad sto kilo i był obiektem drwin z tego powodu — tu wygląda jakby go sam Szefer wyrzeźbił, a swoją urodą i figurą kasuje czołowe gwiazdy z Hollywood i z okładek czasopism. Kojarsz już teraz?

— Tak... — odparł z namysłem Artur. — Nie ukrywam jednocześnie, że nie do końca mi się to potrafi zmieścić w głowie. Musi upłynąć trochę czasu, nim nauczę się tego wszystkiego.

— Ledwie tyle, co do zakończenia rozmowy z Generałem Gabrielem. Później wtłoczymy ci to wszystko do głowy i będzie po problemie.

— No, dobra. Zmieńmy w takim razie nieco temat. Z jednej strony mówisz mi o Przedpokoju i o Dziale Inscenizacji w taki sposób, z którego wnioskuje, że do każdej przychodzącej tu duszy jest przydzielana przynajmniej jedna osoba, a czasem nawet cały zespół aniołów. Z drugiej zaś strony — wspominasz mi o przeszło stu miliardach zmarłych i dość ograniczonej liczbie aniołów stróżów. Nie

za bardzo umiem pogodzić ze sobą te sprawy. Poza tym — nawet biorąc pod uwagę boskość tego miejsca i fakt, że cuda zdarzają się tu pewnie częściej niż raz na sekundę — nie umiem pojąć, jakim cudem, choć to brzmi dwuznacznie, ty sam radzisz sobie z tak ogromną ilością petentów, jak ich zwiesz?

— Och! — Anastazy uśmiechnął się. — To wynika z faktu, że znowu usiłujesz niebiańskie realia ująć w ziemski sposób myślenia i postrzegania. Co widziałeś, gdy się tu pojawiłeś.

— No... — Artur zastanowił się. — Przedpokój, parę krzeseł, garderobę i dwie pary drzwi. Przez jedno przeszedłem do ciebie, a za drugie wyszedł ten facet.

— No, właśnie. Gdybyś odważył się i zajrzał za nie, to zobaczyłbyś absolutną pustkę i nicość. Ale kto powiedział ci, że taki przedpokój jest tylko jeden? Wprost przeciwnie. Przypomnij sobie numer na tabliczce nad moimi drzwiami. Są ich setki tysięcy, które tworzą jeden wielki Przedpokój. Pisany dużą literą, tworzący jedną z domen niebiańskiego cesarstwa. To samo dotyczy Działu Inscenizacji przygotowującego scenki na przejście z waszego świata do naszego. Tam też są setki tysięcy działów i departamentów, zatrudniające miliony pracowników. Tylko w ten sposób jesteśmy w stanie podołać takiemu napływowi dusz, jaki obserwujemy ostatnio. Mało tego — czeka nas niezła przebudowa w najbliższym czasie. Ale to nie ważne...

— No, dobrze. Ale...

Bez najmniejszej zapowiedzi przeszkłone drzwi za plecami Artura otworzyły się z cichym jękiem. Anastazy zbladł i po raz drugi wystrzelił z fotela, wyprostowując się jak struna. Artur odruchowo zrobił to samo, chociaż nie tak zdecydowanie. Cała jego pogawędka o nieuleganiu autorytetowi, tytułom i stanowiskom poszła... w gacie. Gdy gość przechodzący przez drzwi wszedł do pomieszczenia, Artur poczuł, że uginają się pod nim nogi, nim go jeszcze zobaczył. Atmosfera zgęstniała, w pomieszczeniu zrobiło się jakby duszno. Gdy-

by władza, autorytet, pewność siebie i spokój mogły przyjąć namacalną formę, to w tej chwili można by było je kroić jak nożem. Artur bardzo powoli obrócił się do tyłu, by spojrzeć przybyłemu w twarz.

Nie istnieją w żadnym ludzkim języku słowa wystarczające, by oddać, co czuje istota ludzka na widok lub w obecności Archanioła Gabriela — generała zastępów niebieskich, pierwszego wśród wszystkich aniołów i archaniołów, jednego z trójki Wielkich Archaniołów-Generałów i jednego z tych nielicznych niebiańskich istot, które mogą oglądać Boga twarzą w twarz. Można by rzecz, że w tym momencie Artur odczuwał to, co czuł w chwili spotkania z Anasztazym, tysiąckrotnie zwielokrotnione. Albo to, co czują żołnierze na polu walki, osaczeni przez wroga, na widok swojego generała, który ramię w ramię walczy razem z nimi, zamiast siedzieć przy oficerskim biurku setki kilometrów dalej. Lub może, co zmęczone i złęknione dziecko, które zagubiło się w lesie i musiało spędzić tam noc czuje na widok swego ojca, który niestrudzenie szukał go i wreszcie odnalazł. Można by to powiedzieć, ale nawet te trzy wrażenia razem wymieszane i wiele innych uczuć, odczuć, momentów i słów — to wszystko nie wystarczyłoby do oddania tego momentu. Słowa języka ludzkiego są zbyt kulawe. Tego opisać się nie da — to trzeba przeżyć i doświadczyć samemu.

Archanioł Gabriel wszedł i pewnym, rzekłbyś generalskim krokiem obszedł wielkie biurko. Usiadł obok Anasztazego, na krześle, które właśnie się zmaterializowało. Spojrzał na niego. W jego oczach widać było troskę, przemieszaną z odrobiną humoru i drobnej psoty.

— Jak, tam... stary? — zapytał, klepiąc przy tym Anasztazego w plecy z taką siłą, że Artur aż skrzywił się z wrażenia. Drugiemu aniołowi oczy wyszły z orbit, w bynajmniej nie teatralnym geście bólu. — Plecy ci jeszcze dolegają?

— Nuuuooiie — wysapał przez łyż Anasztazy i nikt nie wiedział, czy to zgoda, czy zaprzeczenie.

Artur nie miał zbyt wiele czasu by zastanawiać się nad głębo-
kością tembru głosu Gabriela albo nad przenikliwością jego spojrzenia.
Ledwie tylko ochłonął z pierwszego wrażenia, jakie uczyniło na nim
wejście archanioła, gdy ten skupił na nim swoje spokojne, zdecydo-
wane spojrzenie i odezwał się:

— Witaj, Arturze.

— Dzień dobry... proszę pana... wyszeptał ze strachem Artur.

— Oj, daj spokój! — Gabriel zaśmiał się rubasznie. — Coś mi
się zdaje, że będziemy razem spędzać... dość sporo czasu. Dajmy
więc spokój z tymi ceregielami. Korona z głowy mi nie spadnie, jeśli
będziesz mówił do mnie „per Ty”. Mam tylko małą prośbę. Nie na-
zywaj mnie „Gabrys”... — dodał konspiracyjnym szeptem. —
Strasznie mnie to wkurza...

— Dobrze, proszę... Znaczy się... Dobrze.

— Świetnie! Wobec tego, przejdźmy do konkretów. Wybacz, że
robię to tak szybko, ale — sam chyba rozumiesz — należę do osób
dość zajętych i mam wiele spraw na głowie.

— Dobrze. Chociaż myślę, że mi nie pozostaje nic innego, jak
siedzieć i słuchać. Nie pamiętam nic poza jakimiś szczątkami. Nie
wiem wiele więcej poza to, co drogi Anastazy był łaskaw mi wyja-
śnić. Dowiedziałem się jedynie, że umarłem. Z tą myślą już zdąży-
łem się pogodzić. Przyszło mi to zaskakująco dla mnie samego ła-
two. Wcześniej — za życia — myślałem, że będzie z tym większy
problem. Dowiedziałem się też, ktoś — nie wiem, kto — zaszerego-
wał mnie do czegoś, co tutaj nazywa się Wyjątkowy Przypadek Spe-
cjalny czy nawet Super Wyjątkowy Przypadek Specjalny. I to...

— Ja cię tak zaszeregowałem! — przerwał mu zdecydowanym,
choć przyjaznym głosem Gabriel, akcentując jednocześnie swoją
osobę i jej udział w tej decyzji. — I tak, jesteś Super Wyjątkowym
Przypadkiem Specjalnym według panującej tu nomenklatury. Takim,
który zdarza się raz na kilkaset lat...

— Ach, tak... — tylko tyle był w stanie wydusić z siebie Artur, ponownie bardzo zaskoczony.

— Jesteś Super Wyjątkowym Przypadkiem Specjalnym... — kontynuował archanioł — Bo jako jeden z nielicznych w historii ludzkości doświadczyłeś czegoś, czego teoretycznie nie powinieś być doświadczyć. Bo wykracza poza linię czasową twojej rzeczywistości. Miałeś do czynienia z czymś, co nie pasuje do twoich czasów. Wyprzedza je. W tej chwili tego nie pamiętasz, ale nim ta rozmowa dotrze do końca, będziesz wszystkiego świadom. My tu sobie później przeprowadzimy małe śledztwo, kto odpowiada za to, co się stało i czego byłeś świadkiem? Czy była to wina niedopatrzeń, czy celowego działania. Ale ten problem nie powinien cię zajmować.

— Zaraz, Gabrielu... — odrzekł powoli Artur. — Jestem, a raczej... byłem naukowcem. Całe życie starałem się mieć otwarty umysł i w lot wszystko pojmować. Ale albo śmierć stępiła mi mózg albo tak z leksza czegoś tu nie rozumiem... Prawdę mówiąc — niczego z tego, co do tej pory powiedziałeś.

— Wybacz... Nadmiar obowiązków czasem powoduje, że myślę szybciej niż mówię. Chciałem przekazać ci wszystko na raz i — chyba stworzyłem pigułę, której chyba nikt nie byłby w stanie przełknąć. Zacznijmy więc jeszcze raz, od początku, powoli i po kolei.

Na chwilę zapanowała cisza. Potem Gabriel odetchnął i... wypalił z grubego działa:

— Co wiesz o podróżach w czasie?

W naturalnym odruchu Artura zamurowało. Minęła kolejna chwila, nim się pozbierał.

— Więc... Jestem... byłem fizykiem jądrowym. Kiedyś, na jednym z wykładów z fizyki zapytałem prowadzącego profesora, co współczesna fizyka ma do powiedzenia na temat możliwości podróży w czasie? Odpowiedział mi krótko, że poza oszołomami współcześni fizycy nie zajmują się tym zagadnieniem, traktując je

jako fantastykę naukową. Oraz, że wszystkie znane mu przesłanki wskazują na to, że podróże w czasie są niemożliwe. To wyjaśnienie w zupełności mnie usatysfakcjonowało, więc przyjąłem je jako pewnik i nigdy więcej nie wracałem do tego tematu. To w zasadzie wszystko, co wiem i co mogę na ten temat powiedzieć.

— Dobrze... — rzekł z namysłem archanioł. — Rozsiądź się więc wygodnie. Czeka cię długi wykład na temat podróży w czasie. Miejscami może on wydawać ci się niezrozumiały — choć będę starał się mówić najprościej, jak to możliwe. Miejscami możesz czuć znudzenie — ale poznanie tych mechanizmów jest niezbędne do zrozumienia, co przytrafiło ci się przed śmiercią. Przede wszystkim zaś — jak zginąłeś.

— Rozumiem...

— Zacznijmy od Paradoксу Dziadka... — zaczął Gabriel.

— Wiem! — przerwał mu Artur. — Przepraszam, ale dopiero teraz sobie przypominałem. Słyszałem kiedyś, gdzieś o tym zagadnieniu.

— Dobrze. I co w takim razie o nim wiesz.

— Prawdopodobnie niewiele. Znam jedynie jego definicję. Jest to hipoteza, która pyta: jeśli podróże w czasie są możliwe, to co się stanie, gdy podczas takiej podróży zabijemy własnego dziadka, zanim zostanie poczęty nasz ojciec? Wtedy nasze istnienie stanie się niemożliwe. Co z kolei prowadzi do wniosku, że owa podróż w czasie będzie niemożliwa. I jednocześnie — nie będziemy w stanie zabić własnego dziadka. Na tym polega właśnie paradoks.

— Jak na razie, nieźle. Kontynuuj...

— Wiem też, że istnieje wiele koncepcji i prób rozwiązania tego paradoksu. Ale znam tylko kilka. Jedna z nich mówi, że podróże w czasie są możliwe, ale podróżnik jest podczas ich trwania tylko biernym obserwatorem. Nie może niczego zmieniać w punkcie czasu, do którego dotrze. Jest również niewidoczny dla żyjących tam ludzi, bo

samo jego objawienie się mogłoby spowodować zmiany prowadzące do zanieczyszczenia linii czasowej. Druga ze znanych mi koncepcji rozwiązuje Paradoks Dziadka zakładając, że istnieje nieskończenie wiele równoległych wszechświatów pomiędzy którymi każdy podróżnik w czasie może swobodnie przenikać. Każde zdarzenie, każda czynność i decyzja podjęta przez dowolną osobę może spowodować utworzenie równoległego wszechświata, który całkowicie lub tylko w nieznacznym stopniu różni się od tego, który znamy. W ten sposób, podróżnik w czasie, który zabija własnego dziadka — tworzy tym samym równoległy świat. Alternatywną rzeczywistość, w której on nie istnieje, tak jak nie istnieje jego ojciec, który nie mógł się narodzić. Za to podróż czasowa odbywa się tylko w jednej płaszczyźnie — bieżącej. Dlatego zabicie dziadka nie powoduje ani zniknięcia wnukamordercy, ani powstania paradoksu. Koncepcja nieskończonej ilości równoległych wszechświatów bywała również używana przez niektórych do tłumaczenia niespełnionych proroctw. Na przykład — jeśli jakiś telepata silnie wyczuwał zbliżającą się katastrofę, włącznie z zagładą ludzkości. W oznaczonym czasie nic takiego jednak nie następowało. Wówczas jego błąd można by tłumaczyć tym, że przepowiednia była prawidłowa co do faktu i czasu, a błędna — co do miejsca. Zagładzie uległ jakiś świat równoległy do naszego lub jakaś jego część. Ogólnie jednak ujmując — i w kontekście podróży w czasie, jak i przy tłumaczeniu niespełnionych proroctw — teoria wydaje się zbyt skomplikowana i zawila, a przez — to trudna do obronienia i utrzymania na gruncie logiki.

— Masz rację — odrzekł archanioł. Jednak w tej chwili mogę jedynie powiedzieć ci tyle, że obie teorie są bardziej lub mniej błędne. Sam Paradox Dziadka nie istnieje, choć podróże w czasie są możliwe w pewnym sensie. Reszty dowiesz się już za chwilę, z mojego wykładu. Żeby jednak było szybciej i wygodniej — użyjemy urządzenia, o którym zapewne wspominał ci Anastazy. W twoim

przypadku użyjemy go dwufazowo. Najpierw „wtłoczę” w ciebie całą niezbędną wiedzę do zrozumienia tego zagadnienia. Potem opowiem ci, jak wyglądały ostatnie momenty twojego życia i co spowodowało twoją śmierć. Na końcu zaś — jak każdy trafiający do Przedpokoju — poznasz cały scenariusz twojego życia, wszystkie czyny i decyzje, jakie podjąłeś, wszystkie grzechy i przewinienia jakie popełniłeś za życia oraz ocenę twoich dokonań.

— Dobrze — odpowiedział Artur. Bo co innego mu pozostało, jak zgodzić się?

W mgnieniu oka, nim młodzieniec zdążył się zorientować, Gabriel stał już przy nim. Staął za jego krzesłem i powolnym ruchem zaczął zsuwać mu na głowę coś, co przypominało metalową miskę odwróconą do góry nogami. To coś stanowiło zwieńczenie urzędzenia, które niespodziewanie zmaterializowało się za jego plecami. Po chwili obraz przed jego oczami rozmył się. Nie czuł bólu, strachu, ani nawet dyskomfortu. Miał jedynie trudne do wytłumaczenia wrażenie, jakby przy pomocy szklanki wypijał cały ocean. Nieograniczony przestwór wiedzy zaczął wlewać się do jego umysłu.

7

Podróż w czasie jest możliwa, chociaż istnieje wiele reguł i obwarowań, które jej dotyczą. Istnieje też wiele paradoksów czasowych, które na gruncie pojmowania przez zwykłego człowieka wykluczają możliwość istnienia podróży w czasie. Przynajmniej w taki sposób, w jaki większość ludzi rozumie to zagadnienie. Paradoks Dziadka jest jednym z nich. Równie ważny jest fakt, że ludzkość w obecnym stadium swojego rozwoju nie dojrzała jeszcze do tego, by móc podróżować w czasie — nie ma wystarczająco rozwiniętej techniki

oraz odpowiednio ukształtowanego mózgu, by móc całkowicie zrozumieć te zagadnienia. Bez tego z kolei zbyt łatwo dochodziłoby do zanieczyszczenia linii czasowej, co w konsekwencji mogłoby doprowadzić do zniszczenia całego znanego przez nas świata. Przyjdzie nam jeszcze długo poczekać, nim nasza cywilizacja rozwinie się na tyle, by podróże w czasie były nie tylko możliwe, ale przede wszystkim — dostępne dla nas.

Czas w ziemskim jego pojmowaniu i w największym uproszczeniu jest linią prostą. W ogólnych założeniach można więc — przynajmniej czysto teoretycznie — „oderwać się” od jego aktualnego punktu i udać się do innego. Tyle w temacie teorii. Praktyka wygląda zupełnie inaczej. Najważniejszą kwestią jest czystość linii czasowej. Jakakolwiek niewłaściwa czynność podróżnika w czasie, nawet jego jedno niewłaściwe słowo, czy wręcz pojawienie się w niewłaściwym miejscu lub wobec niewłaściwej osoby mogłoby doprowadzić do zanieczyszczenia linii czasu i często niewyobrażalnych konsekwencji w przyszłości. Zupełnie, jak w powiedzeniu, które mówi, że poruszenie skrzydełek motyla na jednej półkuli Ziemi może wywołać wielkie tornado na drugiej. Paradoks Dziadka był najprostszym z przykładów tłumaczących, jakie zawłości i związki przyczynowo-skutkowe dotyczą zawsze podróży w czasie. Bez nauczenia się najpierw rozumienia tych subtelności, a potem — ich szanowania, ludzkość nie ma co marzyć o przemieszczaniu się w czasie.

Zagłębiając się w ten temat zainteresowany poznawał kolejne reguły, obostrzenia oraz zasady, które rządziły podróżowaniem w czasie. Pierwszą z nich — była całkowita niemożliwość podróżowania w przyszłość. Ludzkość w każdej chwili swego istnienia znajdowała się w jednym, jasno określonym punkcie linii czasowej i zawsze był to jej koniec. Wszystko, co było przed nią — nie istniało. Sami tworzymy swoją przyszłość i nigdy z góry nie jest ona ustalona. Poza pewnymi warunkami i zasadami ogólnymi — głównie do-

tyczącymi zdarzeń i faktów, które są poza naszą kontrolą. Tak, więc — pierwsza z zasad podróży w czasie mówiła o możliwości jedynie cofnięcia się w przeszłość.

Po drugie — podróży w czasie nie może dokonać każdy, w dowolnym momencie i na własne życzenie. Potrzebne były do tego gigantyczne wprost ilości energii oraz zdarzenie się w jednym momencie dużej ilości przypadków i zbiegów okoliczności. Na obecnym etapie rozwoju cywilizacji ludzkiej i przez długie jeszcze lata podróże w czasie były lub będą możliwe tylko w wyniku zajścia zbiegu okoliczności, a nie jak efekt celowy. Cofnięcie się w czasie następowało w sposób zupełnie spontaniczny jako efekt uboczny jakiegś nie związanej z tym faktem działalności lub wydarzenia.

Trzecia zasada definiowała fakt, że osobie podróżującej w czasie i samej podróży towarzyszyła zawsze nadistota — w tej chwili Artur wiedział już, że był to specjalnie przeszkolony anioł. Jej zadaniem była pomoc zupełnie zdezorientowanemu podróżnikowi, który w wyniku spontaniczności zajścia podróży był praktycznie zawsze zagubiony i nie wiedział, co się dzieje. Drugim celem nadistoty było naprawienie wszelkich zniszczeń w rzeczywistości i zanieczyszczeń w linii czasowej, do których mogła doprowadzić taka nieplanowana, a przez to niekontrolowana podróż w czasie. Ten właśnie element trzeciej zasady zaskakiwał Artura najbardziej. Wynikało z niego wprost, że każdą podróż czasową traktowano jako... błąd. Który koniecznie musi zostać naprawiony.

Patrząc z takiego punktu widzenia, istniały dwa rodzaje podróży w czasie, a przez to dwa sposoby tymczasowej zmiany linii czasowej i dwie metody naprawienia błędu, jakim była sama podróż. Skoki w czasie trwały zwykle kilkadziesiąt minut lub godzin, rzadko kilka dni wstecz. Nadistota, po objaśnieniu podróżnikowi najważniejszych faktów, pomagała powrócić mu do momentu na chwilę przed zdarzeniem wypchnięcia w przeszłość, by albo zapobiec całemu zdarze-

niu — wariant pierwszy — lub, by zająć się jego skutkami — wariant drugi.

Oba rodzaje, czy też oba rozwiązania były tak pomyślane, by nikt z otoczenia poza osobą podróżującą w czasie nie zorientował się, że w ogóle do czegośkolwiek doszło. W scenariuszu pierwszym tworzyła się kopia danego podróżnika. Człowiek „właściwy” pozostawał w „punkcie zero”, czyli w miejscu czasu, w którym doszło do podróży wstecz — absolutnie niczego nieświadom. Jego kopia podróżowała w czasie, a następnie miała powrócić „w okolice” owego „punktu zero”, by zapobiec w ogóle faktowi zaistnienia jej podróży. W tym wariantcie następowało odgałęzienie głównej linii czasu, związane z faktem powstania kopii człowieka. Odgałęzienie to zawracało wstecz, w przeszłość, następnie ponownie odbijało w przód, do przyszłości, do „punktu zero”. W ten sposób tworzyło jakby zamykający się okrąg. Wobec tego, wszelkie informacje, które podróżująca w przeszłość kopia człowieka przekazała ludziom z przeszłości, wszystko co powiedziała oraz sam fakt, że się objawiła i wszelkie rzeczy, czy wydarzenia, które towarzyszyły jej podróży powrotnej ostatecznie znikwały. Kontinuum czasowe nie ulegało zanieczyszczeniu. A to dlatego, że podróżującemu udawało się zapobiec wydarzeniu, które wypchnęło go do przeszłości. Na gruncie logicznym owo wypchnięcie nigdy nie następowało. Odgałęzienie głównej linii czasu, które powstało w wyniku owego wydarzenia, ostatecznie zataczało okrąg i — dzięki działalności podróżującego, nadistoty i czasem osób z otoczenia — powracało do punktu wyjścia. Zamykało się, znikало i przestawało się liczyć. Z logicznego punktu widzenia — nigdy nie wydarzyło się owo zdarzenie, które spowodowało wypchnięcie w przeszłość i nigdy nie następowała sama podróż w czasie. Kopia podróżnika powracająca z przeszłości do „punktu zero”, znikала zaraz po wykonaniu swojego zadania — zapobieżeniu wydarzeniu, które do podróży doprowadziło. W danym punkcie czasu

pozostawał tylko jeden człowiek — ten właściwy. Ten, który nigdy nie podróżował w przeszłość — bo z jego punktu widzenia podróże w czasie były niemożliwe. Nigdy nie był świadomy faktu zaistnienia odgałęzienia czasu, powstania kopii jego samego, która została wypchnięta w przeszłość, powróciła mniej więcej do „punktu zero”, naprawiła błąd i zniknęła. Ewentualni zewnętrzni obserwatorzy prawdopodobnie również nie zauważali żadnych zmian. Jeśli nawet, to tylko na chwilę widzieli kopię danego człowieka, która zaraz potem zniknęła. Lecz ten właściwy — nie mający pojęcia o tym, że podróże w czasie są możliwe — mówił im później, że bredzą. Najgorsze przypadki były ponownie załatwiane przez nadistotę, na przykład na drodze wymazania pamięci zbyt opornym obserwatorom lub lekkiej modyfikacji otaczającej ich rzeczywistości.

To całkiem zawile zagadnienie można zilustrować na dość prozaicznym przykładzie. Jakiś pies szczeka i to jest rozpoczyna podróż w czasie — absurd, ale nieźle tłumaczy problem. W wyniku szczeknięcia powstaje odgałęzienie głównej linii czasowej oraz kopia właściciela psa. Ta kopia podróżuje w przeszłość. Tam, przy pomocy nadistoty i być może innych osób, powraca do momentu tuż przed szczeknięciem. Daje psu kość i znika. Dlaczego? Bo pies zajęty kością nie szczeka, czym nie inicjuje podróży w czasie. Odgałęzienie głównej linii czasowej zatacza okrąg, zamyka się i znika. Właściciel psa o niczym nie wie. Ani on, ani jego otoczenie nie są świadomi powstania jego kopii. Bo tak naprawdę — ona nie powstała. Był to samo naprawiający się błąd i samo wymazujący się epizod w historii. O całym zdarzeniu nie ma też oczywiście pojęcia pies — zajęty smaczną kością.

Istniał też drugi scenariusz. Zachodził wówczas, gdy — z różnych względów — niemożliwe było zapobieżenie wydarzeniu, które spowodowało wypchnięcie w przeszłość. W tym wariacie nie tworzyło się odgałęzienie linii czasowej. Cała linia zawracała w prze-

szłość, następnie ponownie w przyszłość i tworząc pętlę biegła dalej do przodu. Kopia podróżującego nie tworzyła się w „punkcie zero”. Zamiast tego, on sam podróżował w przeszłość i w przeszłości stawał się kopią samego siebie. Stamtąd — tradycyjnie — przy pomocy nadistoty i ewentualnych innych osób usiłował dostać się mniej więcej do „punktu zero”. Tam „przejmował pałeczkę”, gdy jego kopia „znikała” — podróżując w przeszłość i zajmował się skutkami tej podróży. Stawał się on wówczas „właściwym” człowiekiem, dla otoczenia i udawał, że nic się nie wydarzyło — ani zniknięcie, ani podróż w czasie. Dla obserwatorów z zewnątrz niewiele się zmieniało. „Właściwy” człowiek zniknął, przenosząc się w przeszłość, a kopia przybyła z tej przeszłości zastępowała jego miejsce. Zajmowała się zapobieżeniem ewentualnym negatywnym konsekwencjom tego zdarzenia, które spowodowało podróż w czasie. Zastępowała samego siebie. Linia czasowa nie ulegała zanieczyszczeniu, a czas biegł dalej bez zmian. Również i w tym przypadku na najbardziej opornych obserwatorów rozwiązaniem była działalność nadistoty. Na gruncie ogólnym zaś główna różnica w obu wariantach podróży w czasie polegała na tym, że w drugim z nich „główny bohater”, czyli podróżnik w czasie był całkowicie świadom wydarzeń, w których brał udział. On sam. Zaś w wariacie pierwszym w wydarzeniach brała udział jego kopia, która na koniec znikała. A „główny bohater” nie miał o niczym bladego pojęcia.

Przenosząc to zagadnienie na płaszczyznę przykładu z psem — można było powiedzieć, że na skutek szczeknięcia właściciel psa przenosił się w przeszłość, do jakiegoś punktu. Od tego momentu do „punktu zero” istniały dwie kopie jego samego. W „punkcie zero” przybyły z przyszłości nie dawał psu kości, pozwalał mu szczeknąć, czym wywoływał inicjację podróży w czasie, obserwował swoje własne zniknięcie — podróż w przeszłość, a następnie zajmował miejsce siebie samego i udawał przed psem oraz całym otoczeniem,

że nic się nie wydarzyło. Jednakże, ten wariant wymagał stałej obecności nadistoty w życiu podróżnika w czasie. Która kontrolowała jego działania i zapewniła, by nigdy, w żaden sposób nie doprowadził on do ujawnienia rzeczy, na których ujawnienie ludzkość nie jest jeszcze przygotowana. Ze względów, których łatwo się domyślić, takie rozwiązanie było gorsze. Dla obu stron. Dla podróżnika, bo od tego momentu do końca życia musiał pozostawać pod dyskretną, ale jednak kontrolą nadistoty. Orz dla niej samej i jej zwierzchników — którzy musieli borykać się z koniecznością oddelegowania na Ziemię nawet na kilkadziesiąt lat wysoko postawionego anioła, tych zaś — nawet w niebiańskim sposobie liczenia i postrzegania — nigdy nie było zbyt wielu. Orz ze świadomością, że „tam na dole” chodzi sobie kolejny człowieczek zdający sobie sprawę z rzeczy, z których zdawać sobie sprawy nie powinien. Dlatego też przy zaangażowaniu wszystkich sił i środków starano się, by nieliczne, ale jednak podróże w czasie rozwiązywane były według pierwszego wariantu. Problem polegał na tym, że nie zawsze było to możliwe.

Ogólne i szczególne zasady podróżowania w czasie jasno określały, że żadna inna forma skoku czasowego nie była możliwa poza tymi dwoma wariantami. Z jednym wyjątkiem. Wyjątkiem, o którego istnieniu nawet w niebie dowiedziano się dopiero teraz.

Paradoksalnie jednak mogło się okazać, że w tym drugim wariantcie zapobieżenie zdarzeniu, które zainicjowało podróż w czasie mogło być możliwe — z różnych względów — jedynie przez zabicie tego, który je spowodował. Zabicie de facto samego siebie. Człowiek popełniał jakiś błąd, w wyniku którego następowało zdarzenie wypychające go w przeszłość. Przy pomocy nadistoty powracał do właściwego czasu na kilka sekund przed popełnionym przez samego siebie błędem, czyli mniej więcej do „punktu zero”. Jedynym sposobem zapobieżenia nastąpieniu wydarzenia było zabicie samego siebie. Gdy tego dokonywał, jego własna kopia przybyła z przeszłości

znikała — tak samo jak odgałęzienie głównej linii czasu — bo powstała ona w wyniku zdarzenia, któremu sama właśnie zapobiegła.

Była to występująca niezwykle rzadko krzyżówka dwóch wariantów. Pierwszy powodował, że wszystkie wydarzenia, które rozebrały się w odgałęzieniu głównej linii czasowej zniknęły wraz z samym odgałęzieniem w momencie zapobieżenia wydarzeniu, które zainicjowało podróż. Drugi wariant powodował, że przeszłość zostawała nieznacznie zanieczyszczona — przenikały do niej skutki tego wydarzenia. Ginał człowiek, którego śmierć nie była planowana, choć niezbędna w tej sytuacji. Utrudnieniem był fakt, że nie zawsze udawało się zatuszować skutki całego zajścia. Często udawało się zaaranżować sytuację tak, że człowiek ginał w wyniku jakiegoś pobocznego wydarzenia. Czasami zaś — w najgorszym wariantcie — nie dało się nic przeciwdziałać. Przyszłość ulegała zanieczyszczeniu poprzez śmierć podróżnika w czasie. Fakt praktycznie niemożliwy do wytłumaczenia wobec najbliższego otoczenia tej osoby.

8

W ciągu ułamków sekund Artur dowiedział się tego wszystkiego. Nie tylko suchych faktów, ale również całej wiedzy, która niezbędna była do pojęcia całości tego niezwykle zagmatwanego zagadnienia. Siedział oszołomiony na swoim fotelu, gdy metalowa miska nad jego głowę uniosła się, a następnie zniknęła wraz z całą resztą urządzenia. Anastazy i Gabriel zdawali sobie sprawę z tego, jak mógł czuć się w tej chwili Artur, więc milczeli długo, dając mu czas na.

— To... to niewyobrażalne... — odezwał się wreszcie głosem pełnym niedowierzania. — A jednocześnie tak oczywiste i pewne...

— Czy teraz, gdy już wiesz, jak to wszystko działa... — zaczął archanioł. — Czy domyślasz się, co się wydarzyło wówczas, w laboratorium reaktora w Instytucie Energii Atomowej w Otwocku Świerku?

— Tak! — przytaknął żywiołowo. — Teraz pamiętam. Widziałem... widziałem samego siebie. To trwało może kilka sekund. Poczuję natrętną myśl, która mówiła mi, żebym oderwał wzrok od monitora komputera i spojrział za siebie. Zrobiłem tak i zszokowany zobaczyłem siebie. Jakbym patrzył w lustro. Identycznie wyglądający, identycznie ubrany i uczesany. Wszystko to samo. Tylko wyraz twarzy inny. Ja byłem w szoku, a on... smutny.

— No, właśnie...

— Potem... potem ten drugi ja... wyciągnął pistolet... — coraz bardziej gorączkował się Artur. — Wymierzył do mnie... Padł strzał i... I co było dalej? Tego nie pamiętam!

— Spokojnie... — powiedział niewyobrażalnie ciepłym i miękkim głosem Gabriel. — Nie tak szybko. Po kolei...

Jego twarz zmieniła się. Przez chwilę sprawiał wrażenie istoty bardzo starej i zmęczonej. Jego głos, gdy się odezwał, był głosem kogoś, kto przeżył osobistą tragedię i choć pogodził się z nią, to wspomnienia ciągle wywoływały ból.

— Byłeś młodym i świetnie zapowiadającym się naukowcem. Zbyt bardzo — jak się potem okazało. Pracowałeś głównie w laboratorium reaktora nad projektem z zakresu fizyki najwyższych energii. W jakiś dla mnie dotąd niewyjaśniony sposób udało ci się doprowadzić do czegoś, na co ludzkość musi poczekać jeszcze wiele lat. Przy pomocy reaktora udało ci się wyzwolić ilości energii niewyobrażalne dla współczesnej nauki ludzkiej. Ilości wystarczająca, do powstania zakrzywienia linii czasowej, utworzenia kopii siebie samego i wypchnięcia jej do przeszłości.

Dalej miało być tak, jak zawsze do tej pory, w nielicznych, ale dość szablonowych przypadkach — dziejących się według pierwszego wariantu podróży w czasie. Razem z twoją kopią wysłaliśmy odpowiednio przeszkoloną nadistotę, która miała wyjaśnić, o co chodzi oraz „popchnąć” tę twoją kopię w pobliże „punktu zero”, w celu zapobieżenia całemu wydarzeniu. Niestety, w pewnej chwili — chociaż z punktu widzenia podróży w czasie brzmi to dość dwuznacznie — sprawa zaczęła się komplikować. Bardzo poważnie. Ludzkość nie jest przygotowana na podróże w czasie. I długo jeszcze nie będzie. Technika ludzka nie jest przygotowana na energie, z którymi w takich przypadkach ma się do czynienia. I też długo nie będzie. Wyzwolone w wyniku twojego eksperymentu ilości energii, które wypchnęły twoją kopię w przeszłość, były gigantyczne. Tysiącrotnie większe niż aparatura bezpieczeństwa reaktora była w stanie przetworzyć. Nastąpiło przeciążenie, a następnie rozerwanie instalacji chłodzącej, co doprowadziło w efekcie do stopnienia rdzenia. Drugi Czarnobyl tylko na mniejszą skalę, bo i moc reaktora nieporównywalnie mniejsza. Co nie zmieniło faktu, że w wyniku katastrofy zginęło kilkadziesiąt osób. A raczej... zginęłoby. Gdy tylko zorientowaliśmy się o co chodzi, nadistotę zastąpił wysoko wykwalifikowany specjalista...

— To byłeś ty, prawda? — przerwał mu.

— Tak... — odparł Gabriel i jakby jeszcze bardziej się postarzał. — Wy tłumaczyłem ci, że wobec takiej sytuacji, która była nowością również dla mnie, pozostawało tylko jedno rozwiązanie. Swoją drogą, byłem zaskoczony, że młody naukowiec, który praktycznie nie opuszcza laboratorium, we własnym pokoju ma sprawną i naładowany pistolet...

— Nie pistolet, tylko rewolwer, mój drogi... — Artur uśmiechnął się nieśmiało na wspomnienie wydarzeń, których jeszcze przed chwilą nie pamiętał, a które powoli do niego wracały. — Mój dzia-

dek był myśliwym i zapalonym kolekcjonerem broni. Dał mi ten rewolwer na osiemnaste urodziny. Niedługo potem zginął, postrzelony na polowaniu. Byłem bardzo blisko z nim związany. Gdy umarł, obiecałem sobie, że rewolwer będę zabierał ze sobą wszędzie i przynajmniej raz w miesiącu czyścić oraz sprawdzać. Jak pamiątkę po kimś bardzo bliskim. Wiesz — niektórzy mają zegarki lub medaliony. Też o nie dbają i pielęgnują. Ja miałem rewolwer...

— Wiem... — odparł ze smutkiem Gabriel. Potem kontynuował. — Przeniosłem cię do momentu na około godzinę przed „punktem zero”. Pomogłem ci dotrzeć do pokoju niezauważonym ani przez inne osoby, ani tym bardziej przez twoją współistniejącą kopię. Zabrałeś stamtąd... erh... broń. Ja zaś pomogłem ci równie niepostrzeżenie przedostać się do laboratorium. A tam... — zawahał się. — Wykonałeś wyrok na samym sobie... Zapobiegłeś w ten sposób eksplozji reaktora i zainicjowaniu podróży do przeszłości. Więc twoja kopia, tystrzelający, zniknęła. Zgodnie z pierwszym wariantem podróży w czasie. Jednocześnie drugi wariant nie mógł się wydarzyć, bo tywłaściwy zostałeś zabity. To spowodowało, że znalazłeś się tutaj.

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie odezwał się Artur.

— Gabrieliu... Mówisz to wszystko takim tonem, jakbyś żałował, że te wszystkie wydarzenia miały miejsce. Że nie byłeś w stanie im zapobiec i uniknąć mojej śmierci.

— A nie powinienem?

— Myślę, że nie... Owszem — nie ukrywam. Żał mi życia na Ziemi, które skończyło się dość szybko. W każdym razie szybciej niż się spodziewałem. Jednakże... Jest i druga strona medalu. Po pierwsze — widzę, że i tu nie będę się nudził i może być tu całkiem fajnie. Kto wie, czy nawet nie fajniej? Po drugie — jestem, a raczej byłem pragmatykiem. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że istnieją wydarzenia, sprawy i rzeczy nie do uniknięcia. Jeśli zaś czegoś nie można

uniknąć, to po co w ogóle zawracać sobie tym głowę? Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy boją się śmierci. Skoro musi to nastąpić, nie ma żadnego innego wyjścia i jeszcze nigdy nikomu — poza Sze-fem... — tu się uśmiechnął. — ...nie udało się tego uniknąć, to po co w ogóle o tym myśleć? Powtarzam ci. Pewnie, że żał mi życia. Ale skoro musiało tak być i nie było innego sposobu... Po trzecie zaś — całe życie byłem wychowywany w poczuciu tak zwanego „mniejszego zła”. Moje życie zamiast kilkudziesięciu innych? A nad czym się tu u diabła zastanawiać?

— No... — zawołali obaj jednocześnie. — Nie wymieniamy imienia wroga swego na daremno!

To prawie zupełnie rozładowało skisłą, nieprzyjemną atmosferę żalu i — choć brzmi to dwuznacznie w tym miejscu — wyrzutów sumienia. Cała trójka wybuchła gromkim śmiechem. Rechotali przez prawie minutę ze łzami kapiącymi im z oczu na biurko. Anioły również mają poczucie humoru.

Pierwszy pozbierał się i odezwał Artur:

— Co będzie teraz?

Archanioł Gabriel chciał się odezwać, ale Anastazy uprzedził go:

— Standardowa procedura... Właczamy ci do głowy cały twój życiorys, poddajemy ocenie, a potem, na jej podstawie, kierujemy do odpowiedniej domeny, właściwego departamentu i...

— Nie... — przerwał mu zdecydowanym, ale znów ojcowskim głosem Gabriel. — Nie na darmo uszeregowałem cię do kategorii Wyjątkowych Przypadków Specjalnych! Przedrostek „super” już sobie odpuśćmy, bo wiesz już skąd on się wziął. Ale naprawdę jesteś Wyjątkowym Przypadkiem Specjalnym, Arturze. Z pełną świadomością zdecydowałeś się poświęcić własne życie, by uratować życie wielu innych osób. To poświęcenie najwyższe zarówno w ziemskim, jak i niebiańskim rozumieniu. Należy się za nie najwyższa nagroda.

Jako jeden z nielicznych masz bezpośredni wstęp do Raju. Co więcej — będziesz mógł od czasu do czasu oglądać Szefa twarzą w twarz...

Głos Gabriela stał się wyniosły i patetyczny. Zapanowała równie majestatyczna i gęsta atmosfera, jak wówczas, gdy Generał Archaniołów wszedł przez drzwi. Po skończeniu jego przemowy całe pomieszczenie wypełniła nabożna cisza.

— Czy... to prawo niezbywalne? — zapytał Artur, cedząc każde słowo powoli, jakby bojąc się naruszyć, czy wręcz zbeczczyć świętość ciszy i atmosfery, która panowała wokół.

Gabriel nie spodziewał się takiej reakcji, ani takiego pytania. Lecz po chwili namysłu odrzekł:

— Tak... możesz korzystać z niego przez cały twój pobyt tutaj. Czyli przez całą wieczność.

— Jeżeli dobrze rozumiem całą tę sytuację, to jestem tu tak jakby na specjalnych warunkach, przez to, co uczyniłem na Ziemi, czy tak?

— Tak... — odparł archanioł coraz bardziej zdezorientowany, dokąd ta rozmowa zmierza.

Wówczas Artur rozłożył ich wszystkich na łopatki. Zaśmiał się głośno, a potem zawołał.

— To świetnie panowie! Bo mam zamiar trochę się tu rozejrzeć, dobrze urządzić, a potem naprawdę nieźle bawić. Przez długi, bardzo, bardzo długi czas. Tak, jakby — przez całą wieczność!

Mówiąc to, śmiał się całą gębą. Zerwał się z krzesła i nie patrząc na nic wybiegł przez oszklone drzwi, które sam sobie otworzył. Wprost do grubych, obitych zużytą skórą drzwi wejściowych. Za którymi rzekomo panowała całkowita pustka i nicość. Mocno szarpnął za klamkę i otworzył je dość szeroko. Nim jednak spojrział, by ujrzeć, co faktycznie znajduje się za nimi, odwrócił głowę w stronę zaskoczonych dwóch aniołów.

— Co o tym sądzicie? Staziu i Gabrysiu?

Potem z gromkim śmiechem rzucił się przed siebie, nie patrząc w ogóle na to, w co wbiegał.

— Grrrr... zazgrzytał zębami ze złości generał zastępów niebieskich, pierwszy wśród wszystkich aniołów, jeden z trójki Wielkich Archaniołów-Generałów i jeden z tych nielicznych niebiańskich istot, które mogą oglądać Boga twarzą w twarz.

Potem zerwał się z krzesła i puścił się pędem za uciekającym Arturem. Jednakże im dalej biegł, tym bardziej orientował się, że na jego ustach wykwita coraz większy uśmiech. Nim minął drzwi wyjściowe, prowadzące z Przedpokoju na... zewnątrz śmiał się już gromkim i głośnym śmiechem.

W gabinecie pozostał Anastazy. Gdy Artur niespodziewanie wybiegł, a Generał Gabriel równie niespodziewanie pognął za nim, anioł odruchowo wstał z krzesła. Stał teraz za biurkiem i patrzył tępym wzrokiem w stronę, w którą przed chwilą pobiegły dwie istoty. Jego mina mogłaby śmiało brać udział w konkursie na najgłupszy wyraz twarzy roku. Z lekką niepewnością otarł lewą ręką kilka kropel potu, które pojawiły się na jego czole. Potem powoli, bardzo powoli usiadł na krześle. Równie powolnym ruchem wyciągnął prawą rękę w stronę prawego rogu biurka. Delikatnie ujął słuchawkę telefonu, który właśnie zmaterializował się w tamtym miejscu.

— Aleksandryna? — powiedział powoli do słuchawki. — Bądź tak łaskawa i połącz mnie z Centralą, dobrze? Potem możesz sobie iść, masz już na dziś wolne.

Jego umysł w ogóle nie zarejestrował pisku radości, jaki dał się słyszeć po drugiej stronie. Poczekał chwilę na połączenie, a gdy usłyszał głos operatora odezwał się również powoli:

— Centrala? Proszę o połączenie z numerem 510 325 011, łąmane przez 042 565 581, prefiks 053 535 039 — a po chwili dodał. — Tak, wiem że to zamiejscowa. Proszę obciążyć mój rachunek.

Odczekał długą chwilę na połączenie. Gdy usłyszał głos po drugiej stronie wypalił:

— Słuchaj. Miałem dzisiaj naprawdę ciężki dzień. Dlatego bez ogródek i zwyczajowych podchodów przechodzę do sedna. Zapraszam cię na piwo! Muszę koniecznie się nawalić. Najlepiej w trupa, choć brzmi to dość dwuznacznie w tej sytuacji. Nie pogardziłbym jednak dobrym towarzystwem. Co ty na to?

— Ba... — odpowiedział głos po drugiej stronie przewodu.

Po czym, diabeł sapnął i głośno mlasnął językiem...

K O N I E C

Impulsem do napisania tego opowiadania była niezwykła i wyjątkowa w swoim rodzaju pocztówka, własność kolegi (pozdrowienia dla Jarka z basenu), którą widziałem raptem przez pięć minut. Przedstawiała odręczny rysunek niebieskiego niezwykle znudzonego demona, opartego na szeroko rozpostartych na kontuarze baru chudych chitynowych ramionkach, z dogasającym papierosem w jednej dłoni i szklaneczką czegoś mocniejszego w drugiej.

Oglądałem ją krótko, a mimo to jej obraz wrył mi się na długie lata. I pozwolił na wykreowanie mojej własnej, mam nadzieję, że dość oryginalnej wizji wielkiej biurokracji, jaka panuje w niebie (i piekle). Dla odmiany, trochę bardziej humorystyczne podejście do tematu, co nas czeka po śmierci. Być może kiedyś rozwinę to wizję do bardziej rozbudowanej formy literackiej — kto wie.

Zawarłem w tym opowiadaniu również elementy pewnej teorii związanej z pojmowaniem liczb nieskończonych oraz mojej własnej wizji

NIESKOŃCZONE MAŁPY

na temat możliwości podróżowania w czasie. Mam cichą nadzieję, że nie wyszło to aż tak strasznie nudno i nieciekawie.

Bartek Spartel

bartek@spartel.eu

Chorzów, listopad 2008 r.

Tekst ma 95 211 znaków ze spacjami.

Więcej moich opowiadań znajdziesz na: <https://www.spartel.eu/>.